

Przetom

Redaktor:

Dr. Witold Lewicki.

TREŚĆ:

| | |
|---|-----|
| Nowy Kurs | 705 |
| Program finansowy nowego gabinetu | 717 |
| <i>Fr. Kawita</i> : Śląsk austriacki. II. Pionierowie | 723 |
| <i>Stanisław Peplowski</i> : Sędziowie krakowscy | 729 |
| <i>Roman Lewandowski</i> : Makarta: „Tryumf Ariadny“ | 736 |
| X.: Przeżyte — Odczute — Wydarzone | 741 |
| Kronika naukowa | 754 |

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 złr. 50 ct., numer pojedynczy 30 ct.



WIEDENŃ.

Skład główny we Wiedniu w księgarni Wlh. Frick, I. Gra.
we Lwowie w księgarni Jakubowskiego & Zadurów
w Krakowie w księgarni S. A. Krzyżanowskięgo.

1895.

**Z powodu nadchodzących dwu dni świątecznych
wydajemy dzisiaj podwójny numer za ubiegły
i bieżący tydzień.**



→: Wiedeń, dnia 2. listopada 1895. ←



Nowy Kurs.

Austria ma znowu Rząd, przed parlamentem stanął gabinet nieparlamentarny, przed starą Izba nowi ludzie, nowy system, nowy kurs.

W państwach o ustroju konstytucyjnym i parlamentarnym możebnym jest „rząd“ — jeżeli wogóle ma być rząd w państwie — jedynie na jednej z dwóch dróg: albo parlament ma swój rząd, albo rząd ma swój parlament. Szereg dziejowych wypadków doprowadził w Austrii do tego, że ani parlament nie mógł zdobyć się na większość zdolną rządzenia przez rząd wyszły ze swego łona, ani rząd na stworzenie sobie większości, na którejby się mógł oprzeć.

Same mniejszości, żadna już narodowość sama, ani żadne stronnictwo nie starczy do wytworzenia rządzącej większości. Państwo o silnych kontrastach, o wybitnych historycznych indywidualnościach, gdzie zasadniczą podstawą stronnictw narodowość, a większa część narodowości jeszcze rozbita na stronnictwa. Większość parlamentarna więc musi być składaną z kilku narodowości, z jeszcze więcej stronnictw, czy grup parlamentarnych. Walka narodowościowa i partyjna, życie partyjne tak się rozbujało, że mało która partya zdolną jest chcieć subsumować interes partyjny pod interes całości, egoizm każdej z mniejszości widzi tylko siebie, nie chce nic ustąpić dla drugich mniejszości, chociażby całość miała przysnąć, chociażby maszyna państwa stanąć miała.

Z pęknięciem ostatniej trwalszej większości parlamentarnej, koalicji t. zw. „żelaznego pierścienia“, którą stworzył hrabia Taaffe, a która prysnęła, gdy Staroczechów złuzowali Młodo-
czesi, reprezentacja żywiołu prawnopanstwowa, politycznie i społecznie radykalna, zaczęła się trwająca do wczoraj doba konstrukcyj prowizorycznych, przejściowych, z dnia na dzień.

Nie było kim rządzić, trzeba było stulać chwilowe większości, by popędzać maszynę państwową, okupywać każdą konstrukcję koncesjami, podkopującymi godność rządu.

Po różnych próbach hr. Taaffe zwątpiłszy w możliwość wytworzenia większości trwałej z wielkich historycznych stronnictw, z których żadne nie dość duże by samo większość dało, a za duże by się chciało poddać ograniczeniu, niewyczerpawszy wszystkich możliwych jeszcze kombinacyj, w chwili nierozwagi, za podszeptem cudzym, chwycił się myśli, żeby przez reformę wyborczą rozbić dzisiejsze stronnictwa historyczne i oczekiwał po nowej reprezentacji materiału dla „państwowej“ polityki.

Była to szalona myśl, że z dzisiejszemi coraz bardziej narodowo ukształconemi stronnictwami już rządzić w Austrii się nie da, że trzeba szukać środka, który zatrze lub przygłuszy kontrasty narodowe. Reforma wyborcza miała służyć za środek. Minister wielkiej dziejowej zasługi, który najświetniejsze rezultaty rządów swoich zawdzięczał poparciu stronnictw autonomicznych i historyczno-narodowych, poszedł na drogę centralizmu, niwelacji, polityki socjalno-biurokratycznej.

Wtedy parlament się obudził. Najwierniejsi przyjaciele, lojalni i szczerze wdzięczni spostrzegli z przerażeniem, że to wina podłożona pod indywidualności historyczne, że tu wygląda grób reprezentacji narodowych.

Nie tu czas i pora wracać i rozszerzać się nad całością tej sprawy. Parlament zdobył się na wielką parlamentarną większość, złożoną z trzech wielkich historycznych stronnictw dla obalenia hr. Taaffe, powstała koalicja stronnictw umiarkowanych. Polaków, klubu hr. Hohenwarta i lewicy niemieckiej.

Większość parlamentarna ogromna, rząd szczerze parlamentarny z koryfeuszów partyj, — zdawało się, że nietylko na obalenie poprzedniego rządu i prób niebezpiecznego dla

Austrii systemu, ale dla normalnego rządu, dla rozwiązania zagadki rządu potrzebnego dla monarchii znalazły się wszystkie warunki. Na stwierdzenie dziejowej prawdy, że wytworzenie prawdziwie parlamentarnego ustroju potrzebuje sporo czasu i „młodszość“ Austrii niezawodna, i ta próba się nie udała. To nie zmienia, że była i dobrą i konieczną. Próba skoalizowania wielkich umiarkowanych stronnictw, szukania wspólnej podstawy, zbliżenia kontrastów, zrównoważenia interesów zawiodła — zagadka współbytu różnorodnych części nie rozwiązana, formuła na nową dobę Austrii, gdy stronnictwa w pełnym procesie przemian i ewolucyi, wśród nowych prądów i nowych fermentów — niezaleziona.

Powody, przyczyny — pisaliśmy na wiosnę, gdy pod ciężarem bezradności, nieudolności, niedopatrzeń, błędów, marnowała się pierwszorzędną sposobność utrwalenia parlamentarnego systemu w Austrii, skojarzenia żywiołów najbardziej dających gwarancje zachowania tego, co zachować potrzeba, rozumnego rozwoju wedle potrzeb czasu, wspólności celów w polityce wewnętrznej i zewnętrznej.

Próba nie udała się, parlament nie zdobył się na większą zdolną rządu, maszyna państwowa ugrzęzła w błocie, wśród powszechnej radości żywiołów skrajnych, zbierających czego nie posiały.

Parlament przegrał, nastąpiła doba, w której „konieczność państwowa“ musiała stanąć nad parlamentem, nastąpił epizod panowania „czapki z bączkiem“, gabinet urzędników, których zadaniem było wóz wydobyć, pchnąć parę kroków, a zdolnych takiego rezultatu dzięki swej czysto „państwowej“ roli, poza i ponad walką, zawzięcią, zjadłością narodowości i partyj.

Parlament sam sobie winien.

Ale stan taki dla wielkiego państwa, starej monarchii niejednolitej, w której część każda żyje swoim życiem, o rozmaitem tempie politycznego, społecznego, kulturalnego i materialnego rozwoju musi być po prostu groźnym. Gdy polityka państwowa grozi stagnacją i marazmem, normalny bieg maszyny zachwiany, bujają partykularne, często centryfugalne

interesa. Trza było szukać wyjścia, tej głowy, której brakowało koalicji, tej silnej ręki, któraby zadaniu sprostała.

Nie stworzył parlament rządu, to musi rząd wytworzyć parlament.

Historycy Francji powiadają, że po r. 1795 ktoś koniecznie musiał wziąć „za łeb“ państwo, wobec zadań wewnętrznych i zewnętrznych i byłby wziął Moreau lub Hoche, może Pichegru, może Bernadotte, gdyby się nie był zdarzył lepszy, silniejszy, mądrzejszy.

Konstytucya austriacka dopuszcza rząd nie wyszły z łona parlamentu. Do utworzenia takiego rządu, któryby silną ręką wtargnął w stosunki parlamentarne i partyjne, zdecydował się Cesarz i powołał do tej roli męża, na którego od szeregu lat, zwłaszcza od upadku hr. Taaffego miał oczy zwrócone, w którym widział potrzebne zdolności i właściwości do trudnego zadania, którego jednak chował sobie niejako na chwilę, gdyby dopiero wszystkie inne nie udały się kombinacye.

Tym mężem miał być hr. Badeni, namiestnik Galicji. Dopiero gdy się okazało, że ani w hierarchii urzędowej, ani w austriackiej arystokracji, ani wśród feudałów czeskich, którzy tyle aprowizjonowali dotąd gabinetów, nie stało człowieka, Cesarz zdecydował się zabrać Galicji doskonałego Namiestnika, odwołać z tak ważnego w państwie posterunku wypróbowanego szefa, z całym zaufaniem wyposażył go w pełnomocnictwa na daleką metę i dał mu misję rządzenia, stworzenia większości parlamentarnej w tym, czy w innym parlamencie, wydobycia państwa z ciężkich opatów, stworzenia „normalnych“ stosunków, szukania nowej formuły dla kwestyi narodowościowej, dla reformy wyborczej, nie mówiąc o zadaniach dnia, ugody z Węgrami, reform podatkowych, socyalnych, ekonomicznych.

Powołał go do trudnego zadania jako hr. Badeniego, tego Namiestnika, który oddał już niemałe usługi koronie, państwu i krajowi, jako niepospolity talent administracyjny, posiadający niejako instykt, temperament do rządzenia, wypróbowany w rządzie wielkiego kraju, w którym ani spory narodowościowe, ani różnice językowe, wyznaniowe nie obce,

życie społeczne w procesie przetwarzania się, — powołał go jako człowieka, któremu myśl państwowa rozumiała, który przeszedł własną szkołę polityczną i całą szkołę twardych doświadczeń swojego narodu i kraju.

Wiedziała Korona kogo miała w Badenim, a musiała to być wybitna osobistość, skoro i powszechna opinia w Austrii widziała w nim męża przyszłości, patrząc na jego działalność i rezultaty.

To też nieda się zaprzeczyć: ażeby Austria mogła mieć tego ministra, Galicya musiała stracić doskonałego namiestnika. To też traciła go niechętnie. Ale też niechętnie szedł hr. Badeni. Bo się z krajem zrósz, bo go rozumiał i był rozumianym, bo miał pole działania wielkie i wdzięczne, niejedno zrobił, tyle miał jeszcze do zrobienia, do czego zabierał się etapami, wytrwale, z samowiedzą celu: zgoda narodowości, niejako budowanie wspólnego dla nich domu, rozwój szkolnictwa, rozwój ustroju administracyjnego, przede wszystkim gminy, ciągle popieranie czynne autonomii kraju na wszystkich polach administracji, kultury materialnej i moralnej. Bo czuł, że oddaje usługi i państwu i krajowi, pracując nad utrwaleniem rozwinięciem tego stosunku narodu do korony, kraju do państwa, który dla stron obydwu jest dziejowego znaczenia.

To też go kraj niechętnie puszczał, żegnał szczerze i stanął na pożegnanie cały w stolicy kraju.

Znaliśmy w nim dobrego obywatela, silną rękę w administracji kraju, polityczną głowę w radzie sejmowej i poza-sejmowej. Doświadczenia nabył sporo wśród trudności i zadań krajowych i państwowych, urzędnik od „piki“ po wicekróla, pierwszy i przodujący urzędnik w kraju w poczuciu obowiązku, odpowiedzialności, niezwykłej pracowitości. Umysł jasny, głowa otwarta, wyszkolony na historii i polityce własnego przede wszystkim narodu i kraju, zachowawca pełen miłości dla przeszłości i wszystkiego, co z niej żyć zdolne i dla przyszłości potrzebne, ale człowiek nowoczesny, pełen światła i szukający światła, z okiem otwartym na zadania i potrzeby czasu.

Bez doktryn, bez uprzedzeń do rzeczy, do ludzi, więc choć wyrosły głównie pod wpływem jednej politycznej szkoły,

wyszły pierwotnie z jednego stronnictwa, wnet otrząsa się z partyjności, z zadaniami rośnie, obejmuje szersze horyzonty, interes wschodu i zachodu, narodowości, wyznań, wsi i miasta, szlachcica i chłopca. Nazwano go w metodzie jego realistą, bo nie lubi formułek, utartych, gotowych środków, szuka drogi do celu i wybiera odpowiednią w danych warunkach, i odpowiednią chwilę, umie się oryentować, szukać informacji, ma zdolność postawienia pytania tak, że się czegoś dowiedzieć musi, kwestyi dotyka się zawsze seryo, nie dla zabawy, wróg ogólnika i frazesu. A że mu prywatne i publiczne służyło szczęście — więc swoboda pewna, pewna wiara w siebie, w swoją gwiazdę — stąd zdolność decydowania się, a zdecydowawszy się, energia woli, by rzecz przeprowadzić.

Słowem człowiek czynu.

Ten niezawodny talent do rządzenia, energia i silne, poważne a potem zdecydowane postępowanie zdobyły mu i poza krajem reputacyę człowieka „silnej ręki“. To też i nadużyto tej kwalifikacyi na niekorzyść stron drugich, niemałej zręczności, umiejętności zażycia ludzi i rzeczy, pewnej dyplomacyi.

Takim znamy go w kraju. Dziś stanął na czele rządu, który sam złożył i znamy jego program.

Wśród marazmu Izby, gdy cały szereg wybitnych talentów parlamentarnych u był lub zużył się do niepoznania, wśród jałowej walki stronnictw i monotonii ogranych recytatywów, w których niema superlatywu tysiąc razy nie nadużytego, wobec starej Izby, której partye w rozkładzie lub tworzeniu się, której rysy zmęczone, chore, anemiczne, hipokratyczne — nowy gabinet, gabinet hr. Badeniego musi robić wrażenie swą niezawodną nowością, w ludziach, w programie, w metodzie.

Niema co gadać: to nowy kurs.

Przyszedł rząd zdecydowany rządzić. Miał na to niegdyś Metternich odpowiednie słowo: eine regierende Regierung. Więc rząd, który całość zadań, „konieczność“ państwową austriackiej monarchii stawia jako cel, rozgardyasz niepohamowanej walki narodowości i partyj, parlament niezdolny do stworzenia większości, więc wspólnej politycznej

myśli i woli przed sobą widzi, błędy poprzednie odgaduje i chce rządzić inaczej.

Otóż ta samowiedza celu, ta silna wola ujęcia rządu inną ręką, daje gabinetowi hr. Badeniego właściwą cechę. Inżycie nie tem, że mówi, że austryacki sztandar poniesie przed parlamentem, ani, że te lub owe zadania, które wczoraj i przedwczoraj stały przed Izłą chce rozwiązać, jest jego cechą.

Nowy kurs — to zamiar nieparlamentarnego rządu stworzenia sobie parlamentu, większości dla przeprowadzenia zadań państwowych. Więć cechą, to ta pewność siebie, wystąpienie pełne postanowienia i woli, rządu, który wie, czego chce, mówi to Izbie wcale jasno, zapowiada, że za słowem pójdą czyny, mówi co „jest niezachwianą wolą rządu“, — „nie chce, by najmniejsza wątpliwość powstać miała jaki cel, jaki kierunek, jakie środki do tego“.

Hr. Badeni oświadcza, że rząd stoi wobec partyj całkiem wolny i takim chce zostać. Więć polityka wolnej ręki, ale nie na to, by z kolei to jednej, to drugiej akomodować się partyi, wprost przeciwnie: „chcemy prowadzić, a nie dać się prowadzić“ — „Wir gedenken zu führen und nicht uns führen zu lassen“. Przekonany, że ta zasada teoretycznie i praktycznie dobra, że ma być na wszelki wypadek utrzymana — pod tym warunkiem przyjął hr. Badeni z rąk Cesarza misję utworzenia gabinetu.

Hr. Badeni chce prowadzić, a nie być prowadzonym. Interpretowano rozmaicie, buntowano się już wyraźnie na taki kurs. Musiał przyjść nareszcie taki kurs i dobrze, że przyszedł, by wyrwać parlament z bezpłodności, nawet w interesie parlamentaryzmu samego. Prowadzić Izbę, prowadzić większość parlamentarną, jest cechą zdrowego najparlamentarniejszego rządu, w krajach o bardzo rozwiniętym parlamentaryzmie.

Przeszłość hr. Badeniego, kilku ludzi w jego gabinecie, przedewszystkiem drugiego Polaka Bilińskiego, który ma już za sobą „trzy przeszłości“ zawsze niepospolite, uczonego i profesora, parlamentarzysty, a nareszcie szefa ogromnej nowoczesnej gałęzi administracyi, daje gwarancye polityki rozważnej. Zaufanie korony daje siłę gabinetowi niezwykłą. Rząd albo

znajdzie dla swej polityki większość, albo poszle starą Izbę do domu i postara się o nową Izbę.

Silny zaufaniem korony, pełen dobrej woli mógł hrabia Badeni zapowiedzieć starej Izbie przyjaźń na dziś i na jutro, *quam diu se bene gesserint*, i nie nie szkodzi, że z programowej mowy jego brzmiało coś, co przypomina słowa Goetza z Berlichingen, rycerza o „żelaznej ręce“ — kto chce, niech czyta w Goethem . . .

Więc możemy pominąć szczegóły programu rządu. Ma szyna państwa musi normalnie funkcjonować, więc budżet, więc wnet ugoda z Węgry, zaległe reformy podatkowe, socjalne, ekonomiczne, wprowadzenie reformy sądownictwa etc.

A „zasady“?

Chce opieki dla uczyć religijnych, chce pielęgnować je w młodzieży, wychowanie oprzeć na moralno religijnej podstawie, ale wyklucza zachcianki reakcyjne.

Ma oko otwarte na potrzeby czasu, chce mieć rękę na pulsie społeczeństwa, będzie wyrozumiewał aspiracje, które nowe czasy przynoszą i nie będzie miał „ciasnego serca“, gdy im przyjdzie zadość uczynić, czy to na polu konstytucyjnym praw obywatelskich, reformy wyborczej, czy ustaw natury socjalnej. Ale z całą samowiedzą stanie na straży ładu i porządku, będzie człowiekiem zachowania i rozwoju, a wrogiem przewrotu i destrukcji.

Chce rozwoju, rozumie dążenia i cele na daleką metę, byle te cele wyrastały z etycznej podstawy, byle ich ideały zawierały silną i potężną Austryę, cywilizację, społeczny porządek.

Popierać, uwzględniać będzie „aktualnie uprawnione, kaźdoczesnemu stanowi dojrzałości odpowiednie“ dążenia narodowościowe i inne „w granicach prawnopolitycznie, finansowo, ekonomicznie dopuszczalnych“ — będzie je bezustannie oceniał ale z tem, „że na historycznym momencie oparte tradycyjne stanowisko i długoletnia wszystkim innym narodom przyświecająca kultura niemieckiego narodu sobie należne uwzględnienie znaleźć musi“. Do czeskiego narodu ma zaufanie, przeszłość

maże, bez rekryminacji, usunąwszy stan wyjątkowy, chce stworzyć podstawę dla normalnych stosunków.

Liczy przedewszystkiem na partye o etycznej podstawie i idealnych celach.

Nie wolno się łudzić, zadania wielkie, trudności zewsząd się piętrzą. W parlamencie i za parlamentem, żywiły wrogie lub niezadowolone, zawiści, zazdrości będzie pełno, Polak w oczy kole.

Rząd wypowiedział swoje, odpowiedziała Izba, wielkie i małe stronnictwa, swoje. Echa odzywają się z krajów, opinia tworzy się w państwie i za granicą.

Nie będziemy dziś mówić o przyjęciu w Izbie. Musi nieznac stósunków parlamentarnych, życia po krajach i rozwoju stronnictw w Austrii, kto się spodziewał lepszego. Rozeznac, co szczere, a co komedia, co na dalszą metę, a co przed nowemi wyborami, co głósem reprezentacyi, która ma przed sobą jutro, bez względu, co hr. Badeni zrobi z parlamentem, za czem stoi i stać będzie ten lub ów kraj, co objawem żywotności partyi, a co słabości, rzeczą nie łatwą. Trzeba żyć w parlamencie, by rozeznac stopnie afektu partyj. Może się wydać ostatniem słowem deklaracya, która tylko pierwszą propozycyą targu, — może się wydać szczytem patosu opozycyjnego, co wsłuchanym zdawna w tyrady tej barwy, zdradzało niezawodne obniżenie tonu.

Apel był, prócz do ekstremistów, do wszystkich partyj „o etycznej podstawie“. Postawiony drastycznie, musi wywołać szybciej odpowiedź w czynach, nietylko w słowach. Nie wolno się łudzić: przebieg lat ostatnich i nowy kurs prowadzą stanowczo do ważnych, powiemy przełomowych zmian i wypadków w Austrii. Czy hr. Badeni będzie miał nietylko silną, ale i szczęśliwą rękę i powodzenie, czego mu życzymy, czy go mieć nie będzie, rozwój stósunków państwowych, parlamentarnych, narodowościowych, partyjnych, zrobić musi jakiś większy krok naprzód.

Nie wątpimy, że hr. Badeni apelując prawie do wszystkich, nie mógł liczyć i nie liczył na jakieś magiczne zaklęcie swym programem, czy swą osobą walk starych, różnic histo-

ręcznych i pewnie nie myślał żeby oświadczywszy, że chce prowadzić, znalazł zaraz za sobą maszerującą armię z całego parlamentu, w której partye, choćby jak różnej barwy, były tylko poszczególnymi pułkami, czy szwadronami. Nie! Byłaby to zgubna iluzya. *Qui trop embrasse mal etreint*. Chcąc wszystkich dostać w swoje objęcia, można nie zyskać jednych, a stracić drugich. Wybór tych składników większości, które w obecnej dobie politycznego rozwoju Austrii najsluszniej, więc najlepiej mogą reprezentować Austryę i stworzyć „rządzącą“ większość, i z największą korzyścią dla państwa i krajów spełniać zadania takiej większości, z pewnością arcytrudny. Trudniejszy tem, że i partye mają dużo do powiedzenia, nie pójdą w każde przymusowe śluby.

I pewnie nie mniejszą iluzją byłoby chcieć znaleźć „ostatnie słowo“ zagadki, i chcieć na piękne rozwiązywać austryacką gmatwaninę różnorodnych kwestyj. Z zaufaniem do osoby nowego premiera i niejednego z jego towarzyszy, witamy ten nieparlamentarny gabinet — skoro, jak się pokazało, Austryę na parlamentarne rządy jeszcze nie stać — widząc w nim dobre zamiary, samowiedzę celu, silną wolę i jednolitość, jaką takie gabinety mieć mogą przedewszystkiem. Oczekując z całą życzliwością programu rządu w praktyce, w czynach, wyrażamy nadzieję, że znajdzie się i rozezna w psychologii partyjnej i uchroni się od złudzeń i rozczarowań parlamentarnych, jakim takie rządy czasem ofiarą padają.

A gdy nareszcie stworzy Austrii tę potrzebną większość, której potrzeba dla normalnego rozwoju i życia państwa, dla polityki wewnętrznej i zewnętrznej, dla mocarstwowej potęgi monarchii, gdy równocześnie podola odjąć mniejszości, czy mniejszościom siłę, jaką daje niepotrzebna krzywda, niesprawiedliwość, to powiemy, wtedy odpowie swemu programowi rozumu stanu i sprawiedliwości — i wtedy nie będzie epizodem próby silnej ręki, ale poważną kartą dziejów Austrii.

Jeszcze słowo. Na czele gabinetu austryackiego stanął Polak, tak samo jak na czele spraw zagranicznych całej austro-węgierskiej Monarchii stoi również Polak. Bylibyśmy nieszczerzy, gdybyśmy nie powiedzieli krótko, że faktu tego nie myślimy

przeceniać, ale go ocenić umiemy. Fakt to w życiu naszym narodowym znaczenia niepospolitego.

I jeden i drugi zdobył sobie zaufanie korony osobistą zdolnością i służbą dla korony i państwa. Korona umiała zawsze wybierać ludzi tęgich bez względu na narodowość. Wszak inaugurował dobę konstytucyjną już Polak i tworzył pierwszą konstytucją ojciec dzisiejszego ministra spraw zagranicznych. A jednak: non bis in idem. Czasy, dzieje przyniosły zmiany stanowiska polskiego w Austrii niezawodne, widoczne dziś całemu światu.

Kiedy zbankrutował system centralizmu i biurokracji, Cesarz powołał w sierpniu 1859 Gołuchowskiego dla objęcia ministerstwa spraw wewnętrznych, Gołuchowski powiedział: „Ależ Najjaśniejszy Panie — jestem Polakiem“, na co mu Cesarz odpowiedział: „Słowianie są moimi najwierniejszymi poddanymi“. Od tego czasu upłynęła trzecia część wieku.

Nie jako Polak, ale mamy przeświadczenie, że już nawet nie mimo że Polak, objął hr. Badeni ster rządów wewnętrznych, jak zewnętrzni władą hr. Gołuchowski. Nie Słowianin, ale Polak austriacki posiada pełne zaufanie korony. Jest w tem niezawodne dopełnienie praw naszych w Austrii, być Polakiem nie jest ani przeszkodą, ani nawet utrudnieniem. Jesteśmy wielką składową częścią wielkiej monarchii wielonarodowościowej, równouprawnieni nie martwem słowem konstytucyjnej karty, ale w pełni życia państwowego.

Ażeby to zdobyć, nie wystarcza służba indywidualna i zdolność wypróbowana w usługach korony i państwa. Bez szowinizmu i fałszywej skromności, wolno nam powiedzieć: — na to trzeba długiej szkoły narodowej i politycznej, na to trzeba nietylko szeregu wybitnych Polaków w państwie, na to składało się więcej, niż jednej generacji życie publiczne w kraju; cała tradycja polityki reprezentacji narodowej w Wiedniu.

Więc bez iluzji, ale z sercem wdzięcznym, komu się wdzięczność należy, bez szowinizmu i przestrzegając przed gorączką, widzimy i w tem objawy nietylko żywo tności, ale życia narodowego. Przestrzegając przed przecenianiem, pełni otuchy i lęku zarazem, by z tego, co zdobyte, co za-

pracowane, co dorobkiem rozumu i woli za rozumem idącej, nie nie uronić a dorabiać co raz więcej, nie wahamy się powiedzieć dla wzmocnienia na dalszą drogę i pracę: to jest narodowym dorobkiem. Wobec świata żyjemy, gdy malują Matejki, piszą Sienkiewiczze — żyjemy, gdy w wielkiej Monarchii na czele polityki zagranicznej stoi Polak, nawą wewnętrzną kieruje znowu Polak.

A że wrogów i niechętnych więcej niż pełno, gdy na każdy błąd, ba na każde niepowodzenie czyha tytu, by razem z Badenim obwinić, czy potępić „polskie rządy“, to pragniemy tem goręcej powodzenia tego austriackiego ministra, chcemy i będziemy z pewnością mu pomocni.

Dlatego odrazu ciągniemy granicę: cieszymy się Polakiem, nie wolno nam na chwilę zapomnieć, że mamy przed sobą austriackiego ministra.

Reprezentacya narodowa kraju naszego, Koło polskie na chwilę nie zapomni, jakie interesa ma do reprezentowania i stanowiska zdobytego twardą polityczną przeszłością pilnować będzie, jak oka w głowie. Wypowiedziało już Koło przez usta swego prezesa: hr. Badeni ma całą życzliwość Koła i zupełne zaufanie dla swojej osoby. W rozwoju wypadków Koło stać będzie z niezawisłością wobec polityki nowego gabinetu i jego szefa i postąpi, jak mu tradycya i zasady Koła czynić kaza.



Program finansowy nowego gabinetu.

Minister skarbu Dr. Biliński wypowiedział we czwartek ubiegły swoje finansowe exposé. Pan Minister skarbu jest mężem nauki, o głośnem w Europie nazwisku.

Z głęboką wiedzą fachową na polu nauki gospodarstwa społecznego łączy pan Biliński rzadkie u uczonego doświadczenie, płynące z 4-letniego sprawowania rządów największego organizmu nowożytnego, który rozporządza budżetem sześć razy większym, aniżeli budżet krajowy galicyjski, a liczy urzędników i pracowników więcej, aniżeli wszystkie inne działy administracji państwowej razem wzięte. Wielki uczony, sprężysty administrator, przyzwyczajony do tego, że usiłowania jego zawsze uwieńczał pomyślny skutek, Dr. Biliński ma nadto osobisty dar jednania i ujmowania sobie ludzi, a tymi przymiotami wyposażony nowy minister skarbu powołany jest do przeprowadzenia najgłębszych reform, na które skarb państwa od czasu ustąpienia Juliana Dunajewskiego daremnie oczekuje.

Ani Dr. Steinbach, ani Dr. Plener nie przeprowadzili donioślejszych reform skarbu państwowego.

Dla Dr. Steinbacha interes fiskalny był najwyższym nakazem i jedynym usiłowaniem, które dla Dr. Plenera przemieniło się w interes czysto polityczny. Stagnacya budżetu austriackiego, brak elastyczności pewnych źródeł dochodu były tak widoczne, że generalny referent budżetu austriackiego p. Szczepanowski przed rokiem już uważał za swój obo-

wiązek położyć nacisk w sprawozdaniu swem na te dwa momenta znamienne budżetu austriackiego.

Onegdaj usłyszeliśmy finansowy program nowego ministra skarbu.

Podczas kiedy exposé finansowe poprzednich dwu ministrów skarbu, a zwłaszcza Dr. Steinbacha, tego impresjonisty w obrazach malowanych grau in grau, nosiły jedynie tylko piętno fiskalne, ciągłego usuwania trudności, z roku na rok, z dziś na jutro, kiedy tamte były wyłącznie ślepą polityką wiązania końca z końcem, bez poważnego zamiaru zmiany całego systemu finansowego, p. Biliński wcale nie przedstawiając budżetu jako niekorzystnego, wskazał na cały szereg niedostatków w budżecie austriackiego.

Minister Biliński z całą odwagą wskazał na potrzebę polityki inwestycyjnej, na potrzebę budowy nowych dróg wodnych, nowych dróg żelaznych w krajach południowych (drugie połączenie Wiednia z Tryestem, sieć kolei dalmatyńskich) i w Galicyi, na potrzebę budowy kolei lokalnych, zażądał stałego funduszu inwestycyjnego na pomnożenie taboru i parku kolejowego, zapowiedział stanowcze polepszenie płac urzędników państwowych, w których osobistem niezadowoleniu szukać należy zdaniem mojem klucza do zrozumienia niejednego objawu ruchu radykalnego i powodzenia haseł antysemitycznych i radykalnych, wskazał na potrzebę pomnożenia sił sędziowskich, bez których nowa ustawa o procedurze cywilnej nie będzie mogła spełnić tych socjalno-politycznych zadań, dla których osiągnięcia została uchwaloną, nie wahał się wskazać palcem na niemoralne źródła dochodu i antyspołeczne działanie loteryi liczbowej w Austrii, którą znieść zamierza, wreszcie z całą otwartością prawdziwego autonomisty wskazał na zły stan autonomicznych finansów krajowych i gminnych i zapowiedział wynagrodzenie dla gmin za sprawowanie poruczonego zakresu działania, życzenie, które swego czasu z tego samego miejsca zbyto nie, odparto dowcipem, że siła podatkowa państwa jest pieczęcią, do której z dwóch stron równocześnie dobierają się państwo i autonomiczne związki — że zatem jak

długo państwo jest głodnem, dla krajów koronnych i gmin pozostają jak owym *tarde venientibus ossa*.

Przedstawił to wszystko jasno, otwarcie, bez retuszu, jak przystało na realistę-polityka i zapytał: chcecie, żebym to zrobił, to dajcie pieniędzy; nie chcecie dać pieniędzy, to nie będzie ani podwyższenia płac urzędników, ani inwestycji kolejowych, ani budowy kanałów, ani zniesienia loteryi, ani udziału państwa w ponoszeniu ciężarów autonomicznych, ani wynagrodzenia dla gmin.

Parlament ma wóz i przewóz. Niech robi, co uzna za stosowne. W tem przyznaniu wolności wyboru parlamentowi jest pierwsza rezygnacya z zapowiedzianej polityki prowadzenia za nos.

Minister skarbu nie ograniczył się jednak w tem wyliczeniu potrzeb, lecz wskazał parlamentowi środki, które wystrzegłyby na przeprowadzenie tego programu.

Środki te proponowane przez p. Bilińskiego są następujące:

Projekt zmienionej reformy podatkowej, tak iżby z niej dla państwa pozostała znaczniejsza nadwyżka; podniesienie podatku od spirytusu o 15 złr. od hektolitra; podniesienie podatku giełdowego z 10 centów od jednego obrotu (Schlussu) na nieoznaczoną bliżej kwotę, n. p. 50 ct. albo 1 złr.; wprowadzenie podatku od zapalek na sposób, jak we Francyi, Włoszech lub Rysyi istnieje; i podniesienie taryf kolejowych: w przyszłości zaś reforma ustawy o należytościach od lat 45 prowizorycznie istniejącej.

Minister skarbu powiada z całą otwartością do parlamentu:

— Jeżeli dacie mi te środki, to ja zobowiązuję się zwrócić je w innej formie gospodarstwu narodowemu.

Minister skarbu żąda tych środków na usunięcie wad i niedostatków budżetu austriackiego, na usunięcie antyspołecznej loteryi, na polepszenie bytu urzędnikom, na udzielenie zasobnej pomocy gospodarstwom publicznym krajów i gmin, jednym słowem na poparcie interesów dobra społecznego.

Gdyby minister skarbu żądał tych podatków na cele pomnożenia wojska, na zmianę kalibru strzelb lub dział, toby się rzecz zupełnie inaczej przedstawiała z punktu widzenia polityki ekonomicznej, gdyż chodziłoby wtedy o podatki na cele nie produktywne, a ostatni głos miałyby jedynie konieczność państwa. Tymczasem minister Biliński zaprasza do porównania korzyści społecznych dla całego organizmu z ciężarami, nałożyć się mającymi na opodatkowanych.

Minister skarbu żąda tych środków na cele inwestycyjne, jak koleje i kanały, na cele sprawiedliwości społecznej, jak polepszenie płac urzędników, albo etyki społecznej, jak na zniesienie loteryi, albo dla gospodarstwa społecznego, jak na pomoc dla krajów koronnych i dla gmin.

Była to od 5 lat pierwsza mowa finansowa w wielkim stylu.

Julian Dunajewski przeprowadził na zewnątrz równowagę budżetową, a więc sanacją budżetu pod względem finansowym, Leon Biliński zapowiedział sanacją wewnętrzną budżetu, równowagę społeczną.

Dunajewski doprowadził deficytowy budżet austriacki do corocznych zwyczajów, Biliński stara się o to, żeby budżet nie dawał zwyczaj kosztem źle płatnych urzędników, kosztem stagnacyi w rozwoju gospodarstwa narodowego wskutek braku inwestycyj, kosztem etycznych i społecznych nakazów przy zatrzymaniu loteryi i kosztem budżetu krajowego i gminnego przez uszczuplanie ich w ich autonomii finansowej.

Biliński dąży do zwyczajów budżetowych, ale na podstawie zaspokojenia wymogów sprawiedliwości społecznej i rozwoju życia ekonomicznego.

Jeżeli przed czem przestrzegać należy, to przed pesymizmem w krytyce tych usiłowań nowego ministra skarbu. Można się nie zgadzać w niektórych punktach programu pokrycia finansowego, można nie dzielić jego zapatrywania co do reformy podatkowej, która nie stoi na takiej wyżynie ostatniego słowa nauki, na jakiej ją widzi p. minister skarbu, a nie stoi choćby dlatego, że nikt rozwiązania podatku od rent nie na-

zwie naukowo doskonałym, bo on jest do przyjęcia tylko jako *faute de mieux*, jako wyjście jedynie możliwe w danych okolicznościach; można i z tem się spierać, żeby reforma podatkowa, zachowująca pomimo zniżek najwyższy w Europie podatek gruntowy i najwyższy podatek domowo-czynszowy, będący prostym podatkiem dochodowym ubogich czynszowników, mogła mieć pretensję do reformy w duchu etyki społecznej; można nie dzielić pesymizmu pana ministra co do zapasów kasowych i użycia ich na cele jednorazowe produktywne, bo przecie zapasy te, będące dziś kapitałem obrotowym dla regulacji waluty z końcem r. 1897 zdaje się swą rolę rozegrają, a w nieskończoność rósć nie powinny, ani zapasy te wiecznie nie będą tak więzione, jak dziś tego wymaga polityka walutowa; można więc domagać się zasilenia funduszu inwestycyjnego z corocznych zwyczajów budżetowych, chociażby z r. 1894 i z tych zwyczajów, które przy tak ostrożnem budżetowaniu, jak było na r. 1895 i 1896, z pewnością będą; można w kartelu cukrowym nie dopatrywać się korrelatu podwyższenia premii eksportowej i nie godzić się z rozumowaniem, że kartel sam znajdzie środki najlepsze do podniesienia interesu cukrowarów, bo rozumowanie takie doprowadziłoby do popierania antyspołecznej polityki kartelowej w każdej innej dziedzinie życia ekonomicznego — ale nie można zaprzeczyć, że exposé finansowe pana ministra skarbu jest urzędowym i cyfrowym komentarzem do mowy prezydenta ministrów, która zaniedbanym dotychczas finansowo krajom południowym i północnym zapowiedziała wydatną pomoc państwa.

Co jednak dziwne i z czem się pogodzić nie potrafimy, to spostrzeżenie, jakie z exposé p. Bilińskiego każdy zrobić musiał, że główny ciężar dostarczenia nowych środków na tę pomoc dla krajów południowych i północnych spadnie na ten kraj północny, który sam pomocy najbardziej potrzebuje. Podniesienie podatku od spirytusu o 15 złr. od hektolitra dotyka przeważnie Galicyę. Podatek od zapalek odbija się również na Galicyi, jako na kraju leśnym dostarczającym temu przemysłowi chemicznemu, głównego materiału wyrobowego, drutu drzewnego.

Nie można się więc dziwić, że te projekty szukania nowych źródeł dochodu i znachodzenia ich zawsze w Galicyi wywołuje pewne zaniepokojenie.

Już poprzedni minister-rodak regulując finanse austryackie, zwrócił swą uwagę głównie na galicyjski produkt: możeby teraz nadeszła chwila zastanowienia się nad możliwością reformy podatku od produktów innych krajów koronnych, n. p. od p i w a i w i n a, a w przeprowadzeniu tej reformy znalazłyby się dodatkowe środki na wykonanie wszystkich ekonomicznych, etycznych i społecznych celów.



Śląsk austriacki.

II.

Pionierowie.

Sprawę odrodzenia Śląska — jeżeli już mamy posługiwać się tym wyrazem — wzięła w ręce nieliczna gromadka ludzi wytrawnych, spokojnych w pracy, świadomie i gruntownie przekonanych o tem, że lud śląski jest kość z kości polskiej, że od kilkunastu wieków, od chwili prawie kiedy istnienie jego zanotowały dzieje, siedzi na prastarych siedzibach Białochrobotów. Posiadają oni tę energią czynu, która nie szarpie się bez potrzeby, nie zużywa sił, nie szuka walki z kogucią zaciętością, lecz postawiwszy cel przed sobą, dąży do niego wytrwale, a rozumną wytrwałością łamie przeszkody.

Z żalem muszę powiedzieć, że nie poznałem wszystkich, a nawet nie poznałem wielu; niektórzy przesunęli się niejako przedemną, tak, że ledwie główne linie ich profilu duchowego zapamiętać zdołałem, lecz dla tych, z którymi mnie los zetknął, powziąłem głęboki szacunek.

Wypadek zbliżył mnie najpierw z Dyrektorem gimnazjum polskiego Parylakiem. Poznałem go w chwili pogwałcenia i niepewności, kiedy Langhanns, inspektor szkolny dla Śląska, wynajdował pracowicie haczyki urzędowe jeden po drugim, ażeby łeb urwać hydrze gimnazjum Cieszyńskiego. Pan inspektor nie domyśla się zapewne, ile swoim nietaktownym zachowaniem się przysporzył nieprzyjaciół rządowi.

Ale nie o to chodzi. Wszyscy byli pewni, że gimnazjum otwarte zostanie, dary w książkach do Biblioteki szkolnej i do nauki napływały ze wszech stron, blisko 100 dzieci czekało na rozpoczęcie kursu, rodzice domagali się ustawicznie, kilku błaznów niemieckich z polskimi nazwiskami zrobiło sobie sport z chodzenia do piwiarni i żartowania głośnego na temat gim-

nazyw. Rusin Stanisławski, redagujący niemiecką gazetę „Silesia“, wydawaną przez Czecha Karola Prochasę — prawdziwy galimatias narodowy! — dwa razy na tydzień regularnie przemawiał do swoich czytelników w tonie urzędowo-chłodnym, że z gimnazjum w Cieszynie może jeszcze nie nie będzie, gdyż właściwie potrzebnem nawet nie jest... Zupełnie co innego gimnazjum ruskie, bo przecież przyjaciół Moskwy gdzieś trzeba przytulić.

W takiej atmosferze moralnej Dyrektor Parylak spędzał dnie swoje w Cieszynie. Nic przeto dziwnego, że się wydawał pogębnionym. Na kierownika młodzieży posiadał on nieocenione przymioty — oprócz doświadczenia pedagogicznego — miękkość charakteru i gorącego ducha polskiego, okiełznanego rozważą i doskonałym zrozumieniem ogólnego położenia Śląska, do czego stanowisko swoje trzeba było przystosować. Człowiek mniej równy i mniej taktowny byłby na tem stanowisku bardziej szkodliwym, niż pożytecznym.

Ksiądz Londzin, sekretarz Macierzy śląskiej jest młodym człowiekiem, bo zaledwie 32 lata liczącym. Szczupła jego i regularna twarz posiada, powiedziałbym, wyraz niewieści. Gdyby nie spokój tej twarzy i nie energiczne ściśnięcie ust, możnaby go wziąć za młodzieńca. Ks. Londzin obdarzony jest nadzwyczajną energią czynu i stanowczością; decyduje się zwykle w jednej chwili i zawsze potrafi znaleźć praktyczny punkt wyjścia, nawet wtedy gdy jest paraliżowany w swoich czynnościach powolnością innych. Wszyscy przewodnicy terazniejszego ruchu narodowego na Śląsku pracowali zgołnie dla sprawy gimnazjum cieszyńskiego, ale o ks. Londzinie można powiedzieć, że je stworzył. Widziałem akta odnoszące się do gimnazjum w Cieszynie i podziwiałem pracowitość, pilność i wytrwałość tego młodego księdza, stworzonego jakby umyślnie do takiej zagmatwanej akcji. Dziś są to już dokumenta historyczne; nie wątpię, że dostaną się one kiedyś w ręce poważne, a dojrzały umysł przyszłego dziejopisa Śląska uczyni z nich jedną z najciekawszych kart budzenia się idei narodowościowej i walki z nią nie państwa, lecz żywiołów i prądów egoistycznych.

Nadzwyczajna jego pracowitość w sprawach publicznych nie przeszkadza mu bynajmniej wykonywać z wzorową akuratnością wszystkich czynności, odnoszących się do jego kapłańskiego powołania. Poznałem go na ulicy przed bramą karwińską, kiedy z mieszkania swego na placu proboszczowskim, po odprawieniu już jednej mszy, szedł ubrany w komeżkę na

naukę. Szedł prędko, gorączkowym krokiem, tak że tłum ludu, idący za nim, ledwie mógł nadążyć.

W życiu i w domu nie widać nawet śladu zbytku. Kieliszek wina uważa za coś nadzwyczajnego.

Posłów Cieńciały i Michejdy poznać nie mogłem, gdyż figielki Langhannsa zmuszały ich do ustawicznych podróży między Krakowem, Lwowem a Opawą. Postanowiłem natomiast odwiedzić ks. Fr. Michejdę, którego poznałem roku zeszłego na Zjeździe literatów i dziennikarzy. Nazwisko jego znane dobrze, otoczone szacunkiem i zasłużone na polu pracy uświadczenia ludu i wykształcenia jego fachowego. Ks. Fr. Michejda jest księdzem ewangelickim — a daj Boże, aby Śląsk miał takich księży jak najwięcej.

Wydaje on w Cieszynie „Rolnika śląskiego“ wraz z dodatkiem „Przegląd polityczny“. Dla kraju rolniczego, w którym istnieje jedna tylko szkółka rolnicza — i to niemiecka — pismo to posiada nadzwyczajne znaczenie: nie tylko szerzy bowiem wiadomości fachowe, niezbędne w formie przystępnej dla ludu wiejskiego, lecz jest także rozsądkiem polszczyzny. Co „G w i a z d k a C i e s z y Ń s k a“, redagowana przez ks. Londzina, robi dla ogólnego ukształcenia włościan śląskich, to uzupełnia „Rolnik“ w kierunku fachowym. Niedawno ks. Michejda umieścił w dodatku do „Rolnika śląskiego“ szereg artykułów o potrzebie gimnazjum polskiego w Cieszynie, owianych duchem takiej prawości obywatelskiej i taktu, że śmiało możnaby je za wzór wystawić, w jaki sposób prowadzić trzeba polemikę zasadniczą. Jest to walka o prawo umotywowana — bez żółci, bez gniewu, bez stronniczych uszczypliwości. Tylko przy takich zaletach umysłowych, jakie ks. Fran. Michejda posiada, możebna jest praca na polu piśmiennictwa na Śląsku. Nie trzeba zapominać ani na chwilę, że jest to społeczeństwo niejednolite pod względem religijnym; większość stanowią katolicy, mniejszość ewangelicy, ale jedni i drudzy są Polakami, czują to doskonale i nie należy walkami religijnymi obniżać wartości pracy, prowadzonej teraz na Śląsku i nie rzucać nieoględnie w łono społeczeństwa tutejszego iskiereki, na którą czyhają pp. Haase, Langhanns i im podobni, aby przy jej pomocy Polaków przerobić na Niemców. Pozwólmy iść do nieba każdemu swoją drogą i wierzyć, że jego droga jest najlepszą. Niech się nikomu nie zdaje ani na chwilę, że ta lub owa religia czyni obywatela lepszym. Mieliśmy w naszej Polsce największych mężów stanu katolików, ale i pośród ewangelików nie brakło tak znakomych ludzi,

jak Rejowie, Gostomscy, którzy pracę i życie na usługi wspólnej Ojczyzny nieśli.

Pojechaliśmy powozem — byłem w towarzystwie dwóch kandydatów na posady profesorskie w mającym się otworzyć gimnazjum — do Nawsia, gdzie ks. Fr. Michejda jest proboszczem. Pogoda sprzyjała nam bardzo — ciepła, słoneczna, cicha jesień patrzyła na nas z pogodnego nieba, z gór, piętrzących się przy drodze, ze szczytów Beskidu, których południową panoramę mieliśmy przed sobą. Błado-szafirowe mgły czepiały się wierzchołków tych samych gór, które na prastarą Chrobacą spoglądały niegdyś. Uprzedziliśmy wprawdzie ks. Michejdę telegramem, że przyjedziemy o siódmej wieczorem, ale zapomnieliśmy dodać, że przyjedziemy powozem — skutkiem tego naraziliśmy uprzejmego gospodarza na to, że na dworcu nas czekał, gdy my, minawszy dworzec w Nawsiu, wprost na probosztego zajechaliśmy. Skutkiem zatrzymywania się tu i ówdzie, a szczególnie w Bystrzycy u brata ks. Fr. Michejdy, który nam ciceronował przy zwiedzaniu spółkowej mleczarni, spóźniliśmy się.

Siedziba ks. Fr. Michejdy uderzyła mnie ciszą i spokojem. Odsunięta nieco od rzeki Olzy, która szeroką doliną zdąża do Cieszyna, schowana wśród drzew i sadu tuż obok kościoła, miała w sobie pociągający urok tak pożądaney w życiu naszym ciszy. Pracowita ręka księdza proboszcza nadała czworogrannemu, niekształtnemu budynkowi probostwa cechę poważną tem bogactwem włożonej pracy, które z każdego miejsca widać. Niema tu nietylko jednej piędzi ziemi niepotrzebnej i nie zużytej do jednego cała przestrzeni, któryby nie nosił śladów rozumnej pracy człowieka. Oprócz drzew owocowych w malutkim sadzie, mury zachodnie i południowe obciążone są szpalerami, a tam gdzie już żadna pożyteczna roślina rosnąć nie może — od północy — wysoki mur dziedzińca kościelnego migoce purpurą i złotem jesiennych liści dzikiego winogrodu.

Cały sposób życia odpowiada prostocie obyczajów i szlachetności umysłu gospodarza domu. Ład, porządek, harmonia we wszystkim. Nie widać tego bezcelowego biegania, które tak charakteryzuje naszą gospozię, pełną dobrego serca, gościnności — i często nieporządku w domu. Ten ład domowy odpowiadał zupełnie ładowi i harmonii umysłowej i duchowej księdza Michejdy. Tu, w tym zacnym domu, słyszałem po raz pierwszy głośną modlitwę, wspólnie wysłuchaną, przez gości i domowników, o błogosławieństwo rodzinie, społeczeństwu i całemu narodowi polskiemu. Było coś w modlitwie owej dla mnie, przybysza od tej strony Polski, którą Bolesław Wielki słupami

żelaznemi odgraniczył od wrogów, coś głęboko wzruszającego, rzewnego i podnoszącego ducha swoją bibliją prostotą.

Nie będę opisywał wycieczki pieszej do sąsiedniego Jabłonkowa, asystency przy kopaniu ziemniaków z próbnych posiewów, zarządzonych przez tutejsze Towarzystwo roln. i powrotu, boby mi to za wiele zabrało miejsca.

Wyjechałem z Nawsia, pokrzepiony na duchu, silniejszy wiarą w pomyślną przyszłość społeczeństwa, którym kieruje rozum, rozważa, wyrozumiałość i prawdziwa religijność takich księży, jak ks. Fr. Michejda.

Z kolei udałem się w przeciwną stronę Śląska — ku Boguminowi, do Gnojnika. Tam miałem poznać księdza Paździorę, jakoteż nauczyciela ludowego Jana Kubisza, poetę śląskiego.

Ksiądz Paździora nie odegrywa w ruchu śląskim roli wybitnej, jest jednak uważany za człowieka bardzo gorąco oddanego sprawie ludowej i pracującego gorliwie nad podniesieniem jego poziomu wykształcenia. Założył on w Gnojniku Kółko rolnicze — katolickie. Nie wydaje mi się to bardzo szczęśliwym pomysłem. Wysoko cenię żarliwość religijną i skupianie ludzi pod godłem wiary, tam gdzie lud, jak na Rusi, lub u nas, walczyć musi z falą żydowską. Śląsk jest pod tym względem szczęśliwy — żydów na wsi niema prawie, a Polacy na własnej ziemi są zawsze Polakami. Na miłość Boga, nie dzielcie ludzi, ale łączcie!

Plebania leży o kilka minut drogi od dworca kolejowego. Ktoś nam otworzył i znikł tak prędko, że ledwie grzbiet jego na wschodach dostrzedz mogliśmy. Trudna rada. Weszliśmy na wschody i zapukali do drzwi — cisza. Najodważniejszy z nas otworzył drzwi — i ujrzeliśmy jakąś postać mężką, tyłem ku nam zwróconą, stojącą przy łóżku i zajętą poprawianiem fryzury. Nie widzieliśmy twarzy — słyszeliśmy tylko nawoływanie do ciepłości: zaraz, zaraz... Był tu ks. Paździora. Zwrócił się ku nam z uprzejmym uśmiechem i pierwsze słowa, jakie przemówił po przedstawieniu się naszym były: a cóż tam z gimnazjum słyhać? Zdaliśmy sprawę i rozmowa weszła na ogólne tory położenia Śląska, potrzeby oświaty i t. d.

Że to była pora podwieczorkowa, gościnny gospodarz przeprosił nas, że gospodyni w domu niema i jał się sam do znoszenia szklanek. Przedemną postawił mniejszą, przed towarzyszymi mymi — większe. Nie wiedzieliśmy co to wszystko znaczy. Tymczasem rzecz się miała bardzo prosto: gościnny gospodarz rozklasyfikował nas na dwie grupy, że tak powiem, na oko. Po chwili wrócił, niosąc dwie butelki. „Wy — zwio-

cił się do młodzieży — dostaniecie piwo, a pan — wino⁴. Zastosowałem się do zwyczaju domowego. Niewyczerpana gościnność ks. Paździora nie skończyła się na tem. Zmartwiony tem, że gospodyni w domu niema, opuścił nas i znowu wrócił, niosąc suche ciastka na przekąskę. Nie bardzośmy na ciastka spoglądali, bośmy poprzednio na dworcu kolejowym posilili się niezłe. Uprzejmy gospodarz zapraszał do ciastek, ostrzegając jednak, że są twarde i można łatwo zęby połamać, szczególnie, gdy ktoś ma wprawiane. Z całego towarzystwa ja tylko jeden, nie zanedbując rozmowy, ciastka zmiatałem . . .

Pokrzepiwszy nie tyle ducha naszego ile ciało, udaliśmy się piechotą do poety śląskiego Jana Kubisza, który o parę kilometrów od probostwa mieszkał. Na teraz nic o nim jednak nie będę pisać — poświęcę mu niezadługo trochę więcej miejsca i czasu.

Fr. Rawita.



Sędziowie krakowscy.

(Obrazek z podwawelskiego grodu).

Wolny, niepodległy i ściśle neutralny Kraków za czasów swej udzielnosci w latach 1815—1846 posiadał odrębne sądownictwo cywilne i karne. W myśl konstytucyi z roku 1815 sądownictwo było niezależne. Istniały sądy pierwszej i drugiej instancyi. W pierwszej instancyi prezes i trzej radcy, w drugiej prezes i czterej radcy byli stałymi, dożywotnio mianowanymi urzędnikami, innych zaś sędziów, pełniących czasowo swe obowiązki, wybierały gminy w liczbie stosownej do potrzeby. Sądy te wyrokowały w wszelkich sprawach, bez różnicy ich natury, lub stanu osób. W razie dwóch zgodnych wyroków nie było dalszej apelacyi. Jeżeli jednak wyroki dwóch pierwszych instancyi wypadły sprzecznie, lub jeżeli uniwersytet po zbadaniu aktów procesowych uznał, że orzeczenie trybunału naruszało zasady prawne, albo istotną formę procedury, tak w procesach cywilnych, jakoteż karnych, głoszących karę śmierci, czy też niesławy — wówczas wracała sprawa ponownie do sądu apelacyjnego. Tym razem jednak w trybunale wyrokującym zasiadali wszyscy sędziowie pokoju, urzędujący w miastach rzeczypospolitej, oraz czterej mężowie, powołani w równej połowie przez obie strony sporne. Wyrok w pierwszej instancyi zapadał w obecności trzech sędziów, w drugiej w obecności pięciu, w ostatniej zaś instancyi w obecności siedmiu sędziów. Postępowanie było ustne, zaś w sprawach o zbrodnie kryminalne zalecała konstytucya wprowadzenie sądów przysięgłych.

Wspomnieliśmy powyżej o sędziach pokoju. Była to godność, pochodząca z wyboru. Jeden sędzia pokoju przypadał na sześć tysięcy ludności. Urzędował on przez trzy lata i prócz obowiązków pojednawcy, czuwał z urzędu nad sprawami małoletnich, tudzież nad procesami dotyczącymi funduszów pu-

blicznych. Musiał przeto sędzia pokoju być prawnikiem z zawodu, posiadać stopień doktorski, pozyskany na jednej z wszechnic krajowych, a oprócz praktyki sądowej i adwokackiej, wymagano od niego tytułu własności nieruchomości, przedstawiającej wartość conajmniej ośmiu tysięcy złotych. Ukończony trzydziesty rok życia był również nieodzownym warunkiem do osiągnięcia tego urzędu. Sędzia apelacyjny lub prezydent którejkolwiek instancji sądowej musiał posiadać te same warunki co sędzia pokoju, a nadto pełnić choćby przez dwa lata jego obowiązki i raz przynajmniej piastować mandat poselski.

Urzędowano oczywiście w języku polskim.

Organizacja jednak sądownictwa przez całe trzydziestolecie istnienia Rzeczypospolitej nie przedstawiała się w formie ustalonej, gdyż konstytucya z roku 1815 dopuszczała istnienie licznych wyjątków na korzyść urzędników z czasów księstwa warszawskiego, oraz dla funkcyonaryuszów, mianowanych przez mocarstwa opiekuńcze, zaś komitet wyznaczony do ułożenia stałych zasad organizacji sądowej nie doprowadził swych prac do końca. Obowiązywała przeto w tym względzie ustawa tymczasowa, narzucona przez komisarzy opiekuńczych dworów.

Ogółem liczone siedm władz sądowych w Rzeczypospolitej. Prócz sędziów pokoju urzędowały: karny sąd wojskowy, złożony z audytora oraz z podrzędnego personalu, i sąd policyjny, orzekający w pierwszej instancji o przekroczeniach policyjnych. Drugą i ostatnią instancją dla spraw tej kategorii był departament policyjny w senacie, zaś oprócz sądów krajowych pierwszej i drugiej instancji zbierał się w wypadkach szczególniejszej wagi najwyższy trybunał karny. Zasiadali w nim trzej sędziowie, przysłani przez dwory opiekuńcze, oraz dwaj sędziowie apelacyjni, miejscowi. Przewodniczył trybunałowi jeden z obcych sędziów.

Jeżeli jednak brak jednolitości dawał się odczuwać już w organizacji sądownictwa krajowego, to tem większa różnorodność panowała pod względem ustaw, obowiązujących w Rzeczypospolitej. W sprawach cywilnych obowiązywały kodeks napoleoński i francuska procedura, podczas gdy w zakresie sądownictwa karnego posługiwano się kodeksem austriackim z roku 1803. Kodeks francuski obowiązywał również w sprawach handlowych. Wprawdzie już w styczniu 1816 roku zwołano celem ujednostajnienia zasad prawnych nadzwyczajny sejm prawodawczy, ale komisya z łona tej izby wybrana, dla braku instrukcyi i wytknięcia kierunku przyszłej jej działalności, nie zabrała się wcale do pracy. Ponownie więc w marcu 1818 roku

zwołano sejm prawodawczy, który po dwumiesięcznych obradach ułożył pierwsze zasady do ustaw Rzeczypospolitej. Rezultatem owych prac sejmowych były później ogłoszone ustawy o ustaleniu własności nieruchomości, o egzekucyi sądowej, o postępowaniu w sądach pokoju, wreszcie o opiece.

O działalności sądów krakowskich dość ujemnie wyraża się Rudolf Kämpf, właściciel domu handlowego w Krakowie, oraz autor ogłoszonego w Lipsku w roku 1844 dziełka p. t.: „*Krakau und ein Blick über seine Grenzen*“. „Słyszałem często sławiących wymiar sprawiedliwości w Krakowie i również często ganiących sądownictwo tamtejsze — pisze Kämpf w swej rozprawie. — „Obowiązująca ustawa dopuszcza mnóstwo wybiegów i kawałów; jeżeli się ktoś nie umie wobec nich zabezpieczyć i nie zastosuje przysłowia: *You must fight the devil with his own weapons*, wówczas cudzoziemcy wychodzą najgorzej na procesach. Skutkiem tego jest tu mnóstwo żydowskich adwokatów pokątnych, którzy interesowanym oddają największe usługi. Szczwani na wszystkie boki, potrafią każdy paragraf obrócić i wykręcić, zbierają daty i fakty, świadczące przeciw adwersarzowi i są szczególnie pomocni skutkiem swych znajomości z niższymi urzędnikami. Cudzoziemcom mógłbym szczególnie polecić tych ludzi. Należy jednak być przezornym w ich wyborze, gdyż niektórzy z tych panów są oszustami i biorą pieniądze od obu stron spornych. Nie chcę przez to czynić zarzutu tutejszemu sądownictwu; szereg lat przebytych przezemnie w Krakowie był może zbyt krótkim, bym mógł poznać dokładnie zalety tej władzy, podobnie jak profan dziesięć razy musi wysłuchać wybornej dla znawcy opery, zanim pozna się na wartości. Wielką klęską dla republiki jest powolność i rozwlekłość w postępowaniu władzy. Dla sprawdzenia istoty czynu, tak jasnej, że ją nawet ślepy zobaczy, zapisuje się stopy papieru. Dlatego też i liczba urzędników jest bardzo znaczną. W całej republice przenosi ona cyfrę tysiąca głów, z której $\frac{2}{3}$ części przypadają na Kraków. Większa część urzędników jest źle płatną, ale umieją sobie oni radzić i najmniejszą przysługę każą sobie dobrze wynagradzać“.

O sądownictwie cywilnem za czasów Rzeczypospolitej krakowskiej znajdujemy ciekawe szczegóły w cennej rozprawie J. L. („Sądownictwo Rzeczypospolitej Krakowskiej“), ogłoszonej w roku 1884 w kalendarzu Czecha. Anonim chwali bardzo działalność sędziów pokoju, którzy w pierwszej zaraz kadencji, odbytej w latach 1816—1817 załatwili sposobem polubownym

dziewięćset spraw. Jak dalece ten urząd był pożytecznym i czynnym, świadczy najlepiej ta okoliczność, iż w przedostatnim roku istnienia rzeczypospolitej (w roku 1844) sędziowie pokoju zamianowali 631 opiek i rozsądzili w ostatniej instancji 8374 sporów (niżej trzydziestu złotych polskich wartości). Nadto w ostatniej instancji załatwili 4437 sporów (niżej trzystu złotych polskich) i załagodzili rozjemczo 289 procesów, należących do trybunału. Cyfry te dają bardzo korzystne świadectwo o działalności sędziów pokoju, choć w ich gronie nie brakło również parszywych owieczek. Charakterystyczny pod tym względem epizod opowiada w swych pamiętnikach prezes senatu rzeczypospolitej Stanisław hr. Wodzicki. Oto jako właściciel realności udał się on w roku 1826 na zgromadzenie wyborcze pierwszej gminy, odbywające się w kościele św. Piotra. Miano wybierać sędziego pokoju. Przewodniczący zagajając zebranie, wymienił w liczbie kandydatów do tej godności także sędziego, kończącego właśnie urządowanie. W tłumie wyborców, tuż obok Wodzickiego, stał jakiś rumiany i opasty mieszczanin, który usłyszawszy nazwisko kandydata, ozwał się na cały głos: A to prawdziwie godny jest sędziego, gdyż przyjmuje kubany od jednej i od drugiej strony. Śmiech ogólny przywodził tej jowialnej uwadze. Kandydat oblał się pasem, lecz nic nie odparł na swą obronę. Spodziewał się przeto Wodzicki, że indywiduum tak ośmieszona przepadnie z kretelem przy wyborze. Stało się jednak inaczej, gdyż pan ten wybrany został jednomyślnie...

Od sędziów wybieralnych przechodząc do urzędników zawodowych zaznaczyć wypadnie fakt w istocie uwagi godny, iż na czele sądownictwa rzeczypospolitej stali przeważnie prawnicy, którzy dłużej lub krócej pracowali w zawodzie sędziowskim w Galicyi wschodniej. I tak pierwszym prezesem apelacyjnego sądu w Krakowie był Józef Nikorowicz. Urodzony we Lwowie w roku 1753, tam też ukończył nauki, a zaciągnąwszy się już po rewindykacji Galicyi do służby sądowej, szybko z konsyliarza lwowskiego sądu szlacheckiego postąpił na radcę apelacyjnego. Jako radca dworu i asesor komisji prawodawczej przeniesiony następnie do Wiednia, powrócił do kraju w roku 1793 na stanowisko prezydenta sądu szlacheckiego w Tarnowie. Odznaczony godnością tajnego radcy, objął Nikorowicz w roku 1797 przewodnictwo świeżo zorganizowanego przez rząd austriacki w Krakowie *fori nobilium* i na tem stanowisku przetrwał rządy austriackie, oraz księstwa warszawskiego w podwawelskim grodzie, zaś rzeczpospolita nie omieszkała go również zatwierdzić w piastowanym urzędzie. Dzielnym prawnikiem, człowiekiem dobroczynnym i sprawiedliwym, zmarł Nikorowicz w dniu czwar-

tym czerwca 1833 r. otoczony powszechnym szacunkiem i sympatją. I następca jego, Franciszek Borgiasz Piekarski, odbywał nowicjat sędziowski we Lwowie jako auskultant, a następnie jako komornik graniczny. Przybywszy równocześnie z Nikorowiczem do Krakowa, otrzymał posadę radcy przy sądzie szlacheckim. Księstwo warszawskie zastało Piekarskiego na stanowisku radcy apelacyjnego, z którego powołano go na przewodniczącego sądu kryminalnego. Komisarze, organizujący republikę, zaofiarowali mu w roku 1815 godność senatora, ale Piekarski jej nie przyjął i poprzestał na urzędzie wiceprezydenta apelacji. Zajęcia biurowe nie przeszkodziły mu wszakże w pełnieniu różnorodnych funkcji publicznych. Pracował niestrudzenie w komitetach: prawodawczym, administracyjnym, skarbowym i szkolnym, lecz główną jego zasługą było założenie ksiąg hypotecznych dla miasta Krakowa. Zamiłowany agronom, nietylko piórem czynny był w tej dziedzinie Piekarski, lecz urządził wzorowo wieś swą dziedziczną Tomaszowice, a nadto znalazł dość czasu, by piastować urzędy honorowe w instytucjach dobroczynnych. Zamianowany po śmierci Nikorowicza prezydentem apelacyjnego sądu, krótko przewodniczył krakowskiemu sądownictwu, gdyż zmarł już w październiku 1834 roku.

Natomiast Jakób Mąkowski, prezydent apelacyjnego sądu krakowskiego w latach 1834—1842, nie cieszył się wcale sympatją ani ze strony ludności, ani też w sferach urzędowych. Podobnie jak jego poprzednicy, rozpoczynał Mąkowski zawód sędziowski we Lwowie, skąd przy organizacji sądownictwa austriackiego w Krakowie, dostał się w roku 1797 do tamtejszego forum nobilium w charakterze sekretarza. Awansując stopniowo, osiągnął po śmierci Piekarskiego najwyższą w republice godność sędziowską, lecz nie lubiany powszechnie, lekceważony nawet, przez rezydentów opiekuńczych dworów, doczekał się w końcu tego despektu, iż przy reorganizacji sądownictwa krakowskiego w roku 1842 wbrew własnej woli przeniesiony został w stan spoczynku. Osiadłszy w dziedzicznej swej wiosce, w Pawlikowicach, zmarł w Wieliczce w roku 1861. Miejsce jego zajął Piotr Bartynowski, potomek starej rodziny patrycyszowskiej, zajmującej się w Krakowie z ojca na syna, winiarstwem. Służbę sądową rozpoczął też w rodzinnem mieście, pełniąc kolejno funkcje sędziego, prokuratora i profesora prawa rzymskiego w Uniwersytecie Jagiellońskim. W roku 1833 był prezesem trybunału pierwszej instancji, a przy reorganizacji sądownictwa, nastąpionej w dziewięć lat później, zamianowany został prezydentem sądu wyższego. Na tej też posadzie doczekał się Bartynowski upadku rzeczy-

pospolitej, lecz szczylił się zaufaniem władz austriackich, z których ramienia w latach 1853—1860 piastował godność kuratora uniwersytetu Jagiellońskiego, podczas reorganizacji tego instytutu. Na czele sądownictwa krakowskiego pozostawał tylko do roku 1855, gdyż po zniesieniu przez rząd austriacki kodeksu napoleońskiego i ustnego postępowania w sprawach cywilnych, zamianowany został Bartynowski radcą apelacyjnym, w którymto charakterze dosłużył się emerytury w roku 1862.

Sądownictwo karne w republice krakowskiej niejednokrotnie też bywało przedmiotem ostrej krytyki, gdyż w tej dziedzinie wymiaru sprawiedliwości najbardziej ujemnie wydatniał się wpływ walki stronnictw, a raczej koteryi, szarpiącej niustannie łono miniaturowej rzeczypospolitej. Wielce ciekawe światło na współczesne stosunki krakowskie rzuca sprawa Wazona, rozegrana w lutym 1822 roku. Przebieg tej ciekawej w swym rodzaju historii przedstawiał się następująco: W dniu dziewiątym lutego t. r. odbywał się w sali hotelu Knotza bal publiczny na korzyść ubogich, a w liczbie zaproszonych gości znalazł się też generał wojsk polskich, Grabowski, impetyk, jakich mało. W chwili, gdy zabawa ożywiła się w najlepsze, usłyszeli zebrani w przyległym do sali głównej bufecie niezwykły hałas, pomieszany z szczękiem tłuczonego szkła i z łoskotem przewracanych krzeseł. Powstała ogólna konsternacya, którą spotęgowało jeszcze pojawienie się generała, wypadającego z bufetu z włosom pomierzwionym, w mundurze rozpiętym.

— Panowie, mam was wszystkich za szelmów! — krzyknął Grabowski, zbliżywszy się do prezesa senatu Wodzickiego — jeżeli mi za tego zuchwalca publicznej nie dacie satysfakcyi!

Powstał na te słowa zgiełk nie do opisania. Panie bezwzględnie opuściły salę, zaś oburzona młodzież jęła się cisnąć do bufetu, by doraźnie ukarać napastnika. Był nim Jan Wazon, subjekt cukiernika Wielanda, zajęty w bufecie. Grabowski, trzymając w ręku szklanke lemoniady, podaną przez służącą, zażądał rumu od Wazona, nazwawszy go chłopcem. Ten obruszony odpowiedział hardo, że podawanie trunków należy do służby, w zamian za co usłyszał z ust generała słowa: *No, so gib Rum, du dummer Kerl!* Wazon, syn radcy kantonalnego w Graubünden, nie pozostał dłużnym Grabowskiemu w odpowiedzi, skutkiem czego generał z cukiernikiem wzięli się za czuby i dopiero urzędnik policyjny, aresztujący Wazona, przerwał owe gorszące zajście. Nazajutrz odbyło się w tej sprawie nadzwyczajne posiedzenie rządzącego senatu. Nie czekając na skargę Grabowskiego i z pominięciem władz sądowo

policyjnych, jedynie kompetentnych w tym wypadku, wydał senat rozporządzenie, by w dniu jedynastym lutego podczas południowej zmiany warty wyliczono Wazonowi przed odwachem wieży ratuszowej piętnaście kijów i odszupasowano winowajcę z granic rzeczypospolitej. Postanowieniu temu, gwałcącemu zasady konstytucyjne, że nie wspomnimy już o pojęciach republikańskiej równości, sprzeciwiał się podobno Wodzicki, lecz ostatecznie nie odmówił swej sankeyi powziętej uchwale. Jeden tylko senator Michałowski zaprotestował przeciw temu orzeczeniu i opuścił salę obrad, rzuciwszy na pożegnanie kolegom te słowa: Pamiętajcież Panowie, że depreczecie konstytucyę i wszelkie prawa, i że ten gwałt ściągnie na was przekleństwo, oraz wzgardę publiczną, których ja z wami dzielić nie chcę! . . .¹⁾

(Dokończenie nastąpi.)

Stanisław Peplowski.



¹⁾ Również energicznie oparł się bezprawiu senatorów Nikorowicz, naczelnik sądownictwa, który tem wystąpieniem zyskał sobie wzięcie ogólne w mieście i przez stronnictwo demokratyczne forytowanym był w r. 1827 na godność prezesa senatu.

Makarta: „Tryumf Ariadny“.

Do zbioru nowych obrazów w cesarskiem Muzeum sztuki, nabyto w ostatnich czasach jeden z najlepszych obrazów Hansa Makarta: „Tryumf Ariadny“.

Plótno to będące dotąd w rękach prywatnych, wożone po miastach całego świata, wiele bardzo ucierpiało i potrzebowało gruntownego odświeżenia, co też w muzealnej szkole restauracyjnej zostało dokonane. Przed kilku dniami umieszczono obraz na przeznaczonem miejscu i otwarto drzwi dla zwiedzających.

Wspaniała to rzeczywiście kompozycja i wspaniałe, znakomite wykonanie! To wszystko, co w dziełach znakomitego kolorysty szukamy, znajdujemy tutaj, a pomimo wad, jakie uderzają przy doskonałościach, obraz ten przedstawia się nam tak typowo i charakterystycznie, tak jasno i rożkosznie, że mimowoli umysł rozjaśnia i do życia zachęca. Tonem i barwą obrazu jesteśmy olśnieni i oczarowani.

Zdolność i uczucie, smak i zamięłowanie w przepychu posiadał Makart, jak żaden inny z nowoczesnych malarzy, a wspaniałość barw promieniejąca dokoła jego dzieł, napawa wzrok prawdziwym odurzeniem. Poczucie piękna i to piękna dekoracyjnego w całym znaczeniu tego słowa, okazywał zawsze kobiecimi postaciami, nawet w obrazach, do których tematy czerpał z wielkich scen historycznych lub obyczajowych. Dlatego też, nie możemy do historii zaliczyć przedstawionej nam chwili „Wjazdu Karola V“, ani „Nibelungów“, tak samo jak „Diany“ i „Katarzynę Cornaro“. W każdym przecież razie wszystkie te obrazy, pomimo zapożyczonej nazwy historycznej są i pozostaną dziełami szlachetno zmysłowych pojęć nadzwyczajnie oryginalnego i genialnego artysty, dla którego cały świat posiadał piękną formę kobiecego ciała i miliony barw najpyszniejszych kwiatów!

Kwiaty te i ciało kochał całą duszą i odtwarzał z mistrzostwem, w którym mu nikt nie dorównał. Były za życia jego całe towarzystwa przeciwników jego, a nawet i dzisiaj zarzucają mu

wyuzdanie i szerzenie zepsucia moralności. Zapominano jednak o tem, że Bóg sam, stwarzając cudownie piękną naturę, za najpiękniejsze i najdoskonalsze uznał kształty człowieka i zrobił go królem całego stworzenia. Sztuka starożytna uprawiała też prawdziwy kult nagiego ciała, a wszystko, co miało być najszczytniejszym wyrazem piękna, widziała i przedstawiała w formach nagiego ciała ludzkiego. Po sztuce greckiej i rzymskiej, kiedy zapomniano o pięknie kształtów, a szukano zmysłowych stron jego w ciele, musiała nastąpić reakcja. Moralność, zastąpiła wyuzdanie, skromność chrześcijańska zastąpiła przed wzrokiem człowieka to, co Rzym doprowadziło do upadku, a zmysły ludzkie do upodlenia. I sztuka przechodziła równe koleje z moralnością. Przywodziła różne szaty — aż do włosieńczy mnicza średniowiecznego. Dopiero Odrodzenie zwróciło się do starożytnego świata, jego cywilizacji i jego sztuki. Chrystyanizm, który zdawał się początkowo jak najgorzej wpływać na rozwój sztuki, ten sam chrystyanizm i jego Namiestnicy pomogli do odrodzenia się sztuki tradycją greckiej i rzymskiej przeszłości. Nieśmiertelni Mistrzowie Odrodzenia, przyjąwszy z szacunkiem istniejącą sztukę chrześcijańską, odmłodzili ją niejako za pomocą doskonałości i wprawy technicznej, dając jej pewien smak wykształcony na starych wzorach, wyszukiwanych pod gruzami Rzymu i w wodach zamulonego Tybru. W czasach tych powstał nieśmiertelny artyści i powstał okres sztuki, który zawsze nam za szkołę służyć będzie, a chociaż dzisiaj inaczej ją pojmujemy i wykonamy, to przecież zawsze szlachetności pojęcia, jasności kolorytu i pogodnej kompozycji w tamtych czasach poszukamy. Na tej szkole oparł i Makart swój talent — bo innej szkoły nie miał i mieć nie mógł odpowiedniej dla całego swego charakteru. Ani Wiedeńska Akademia ówczesna ze swoim pseudo-klasycyzmem, ani nawet Monachium ze swoim kierownikiem Piloty'm nie czele, nie działali na Makarta. Powrócił też do Wiednia ze swoich artystycznych wycieczek, przestał być akademikiem, a zaczął być samym sobą. I wówczas, malując kwiaty i patrząc na obrazy Tycyana, Rubensa i Veronesa, studiując naturę ze strony jej najjaśniejszej, wesołej i barwnej dekoracji, stworzył ów znakomity obraz pochodu historycznych scen i postaci przy sposobności 25-letniego jubileuszu małżeńskiego pożycia Cesarzkiej pary w Wiedniu. Po tym pochodził Makart został sławnym i modnym, a Wiedeń kolorystycznym! Ale nie tylko wpłynął on na rozwój artystyczny samego Wiednia; wszystkie miasta, sztuka i przemysł naraz stały się „makartowskie“ i dążyło to do kolorytu, jasności i pogody. Stworzył epokę, a wpływ jego przedewszystkiem na sztuce przemysłowej wycisnął swoje dodatnie piętno i o cały poziom podniósł ją z dotychczasowej ociężałości i letargu. Obrazy

Makarta nie mogą wytrzymać krytyki wielkiej, żądającej doskonałości pod każdym względem, żądającej sztuki dla sztuki. Ale nikt im nie może odmówić tych dodatnich stron, których niestety brakowało w najbardziej historycznych i wielkich obrazach jego kolegów.

Ponad wszystkim jest kolorystą, a dzieła jego pozostaną na zawsze najpiękniejszymi i estetycznymi dekoracjami w najszlachetniejszym znaczeniu. Nie mam bynajmniej zauiaru pisania krytycznego studium o Makarcie, dlatego też pomijam wszystkie jego wady, z przyjemnością kreśląc tylko dodatnie wrażenie, jakim jego obrazy, a ostatnio „Tryumf Ariadny“ na mnie oddziaływały. Wiem, że styl jego, ów kult nagiego ciała, jakiemu się oddawał, przy każdej nadarzonej sposobności, spotykał się i spotka z całą surowością krytyka i moralisty. Ale jeżeli pracom Makarta przeciwstawimy prace ówczesnej szarżyzny Monachijskiej, to ze zdumieniem patrzymy na tę kaskadę tonów i półtonów w jego obrazach, na to zestawienie całych grup ciał ludzkich o różnych zabarwieniach skóry, na ten smak estetyczny i przepych barw, wprost czarownie działających na nasze oko.

Jednym z najlepszych pod tym względem dzieł jego, jest „Tryumf Ariadny“, do kompozycyi swojej wybrał chwilę z prześlizanej legendy greckiej, kiedy Dionisos znalazłszy porzuconą na wyspie Naxos przez Tezeusza Ariadnę, uniesiony jej pięknoscią zakochał się w niej i w tryumfie wiezie z całą radosną swoją drużyną do domu. Całość kompozycyi figuralnej na tle wiosennego krajobrazu jest tu tak wspaiała, że godzinami patrzymy na nią, szukając szczegółów, bo mimowoli zawsze patrzymy na cały ogół. Przed nami rozwija się jak prawdziwy bukiet, jedna postać za drugą, zatrzymuje na chwilę naszą uwagę i popycha dalej do drugiej, do trzeciej i znowu ciągnie wzrok z powrotem i upaja barwą, swobodą ułożenia i pięknem. Obraz ten, to jak korowód farb w prześlizną tęczę połączonych, mieniających się i świecących. „Tryumf Ariadny“ przypomina mi drugi obraz Makarta, któryby się jako pendant przy tym widzieć pragnęło, chociaż pod względem wykonania stoi o wiele niżej. Myślę tu o „Polowaniu Diany“. W obydwóch tych pracach pokrewną jest bowiem szalona fantazyja artysty, co sobie za zadanie postawił piękne kształty kobiety zebrać w jedną całość — mniej bacząc o rozumną anatomię, a wszystko poświęcając kolorystycznemu efektowi. Anatomia odgrywa u Makarta tę samą rolę, jaką ma tekst opery u muzyka. Jest ona wszędzie, ale nagięta do jego indywidualnego pojęcia, artystycznie pozmieniana, zastosowana genialnie, aby tem lepiej mogła służyć do podrażnienia wzrokowych nerwów piękna. Ten Silen ma za długą i grubą nogę — jedną,

to druga jest zupełnie proporcjonalna. Tamta bachantka ma n. p. tylko połowę dolnej szczęki — a małe dziecko takie przerażająco długie rączki! To wszystko prawda — ale wśród tych błędów anatomicznych, zastosowanych przez artystę do potrzeby gry barw i światła, spotykamy tradycyę najlepszych mistrzów renesansu i widzimy także wspaniałe okazy z anatomii. Obok grecko-rokokowych główek bachantek z wyrazem naiwno-pożądliwym, widzimy tak pięknie i szlachetnie pojętą Nimfę, że jakby wyrzeźbiona występuje ona z całego obrazu. A ten Tryton, czyż to nie piękne ciało przeprowadzone z całym wymaganiem jego znajomości? . .

To samo powiedzieć można i o krajobrazie, przepelnionym całą skalą światła i koloru, a już wprost ludzącą naturalnością znaczy się cały szmat nieba, którego seledynowe obłoki zdają się przesuwać poza ciemnymi, gęstym liściem ubranymi drzewami. Refleks za refleks, jedna ostateczność barwy obok drugiej, a na tem tle, tłum różnorodnego ciała nagiego, począwszy od zupełnie białej Bachantki, a kończąc na prawie czarnobrazowej karnacyi Faunów i Silenów.

Na pierwszym planie zwraca uwagę naszą kobietą, która wyciągniętą ręką stara się wstrzymać zesuwanego z wozu Silena, drugą ukrywa małego dzieciaka. Nogi jej kończą się pletwami, włosy zupełnie białe, białemi ozdobione kwiatami, jak pianą wodną, w której jest do połowy zanurzona. Chcąc rozumieć ten obraz Makarta i nie dziwić się pewnego rodzaju jego genialnej ignorancyi prawdy i natury, musimy patrzeć tak, jak on sam — to znaczy nie szukać w nim sceny realnej i naturalnych postaci, ale szukać fantazyi, piękna dekoracyjnego, złożonego z tysiąca mieniących się jak perła kolorów, a wtenczas odczuwamy całą i rzeczywistą przyjemność w patrzeniu na niego. Makart zadziwiał łatwością jak i umiejętnością wykonania. To co chciał, zawsze zrobił, a na wszystko miał sposób. Jeden szczegół nie gubił drugiego i dostrajał się do całości kolorystycznej. Jednem pociągnięciem pędzla z całą farbą, znaczył cały szereg zębów, widniejących w roześmianych ustach małego Faunika; tu znowuż jakaś jasna plama między drzewami zdradza nam kobiecą główkę, z której właściwie narysowanym jest tylko podbródek! . . Pełną efektu i ślicznych linii jest główna grupa Ariadny, co rozochocona wesołością Dionisosa i jego drużyny, zapomina sama o sromotnem porzuceniu przez Tezeusza i potrząsając berłem zabawy, cieszy się serdecznie. Sam Dionisos zapominając o wszystkich i wszystkim, ją tylko widzi i w nią się z podziwieniem i uwielbieniem wpatruje. Pijany Silen, grający mu na piszczałkach Satyr, odurzone szałem i muzyką tygrysy, ciągnące wóz z Ariadną, tańczące rozkoźnie bachantki i centaury zakochany — wszystkie te postacie dostrajają całości obrazu, tworzą

rząc, jak już nadmienilem, prześliczny bukiet ułożony z nagich ciał ludzkich, jak z kwiatów. Że są moralisci, wołający na zepsucie, ach! o tem wiem doskonale! Są to po większej części tacy, którzy potępiając nagość w sztuce, oglądają ją z pożądliwością starych grzeszników w tajnych gabinetach . . . Ale, wszystko to już było, a dzieła sztuki psują tylko tego, który chce się zepsuć. Znam takich, co na obraz Makarta szli patrzeć już z góry ułożoną tendencją zmysłowego podrażnienia, a wychodzili rozczerowani, mówiąc, że to czcza dekoracya tylko, bez prawdy i natury! . . .

„Tryumf Ariadny“ jest taką dekoracyą, piękną pod każdym względem i jedną z najlepszych prac, jakie istnieją po Makarcie.

Roman Lewandowski.



Przeżyte — Odczute — Wydarzone.

„O myśli moja twórcza! gdzie tobie iść w drogę?
„Ojczyzna cię zakłęła na zawsze w swe koło . . .
Ujejski.

Nasz!

— Czy są fasony do kapeluszy?

— Niema. Ale może pani „modystki“ potrzebuje?

Nie dobrze obeznana z miejscowemi wyrażeniami, nie rozumiałam na razie, jakiego rodzaju wyrobem częstują mnie w hurtownym składzie galanteryjnych towarów.

— Modystka, taka co kapelusze robi — tłumaczył zdumiony snąc moją nieświadomością subjekt magazynu.

— I owszem, i owszem — odparłam skwapliwie. — A nie droga?

— Nie. Polka ale nie droga.

To ale nie było bez znaczenia. W guberniach rosyjskich Polki, szczególnie zaś Warszawianki, słyną z dobrego smaku i zręczności i cieszą się tem większem powodzeniem, im drożej płacić sobie każą. Polka tania stanowiła więc swego rodzaju osobiwość.

— Ona wszystko u nas kupuje, u n a s j e s t j e j a d r e s — objaśniał w dalszym ciągu usłużny młodzian.

I wsunął mi w rękę kartkę z adresem protegowanej przez magazyn modniarki. Spojrzałam: łacińskiem pismem stało tam wydrukowane: „M^{me} Sofia Zoti, marchande de la Mode“, a poniżej w urzędowym języku adres mieszkania położonego na tejże samej ulicy, o kilkanaście domów dalej.

Z łatwością znalazłam parterowy dworek, nadaremnie jednak szukałam szyldu, wskazującego mieszkanie niefortunnej zwolenniczki francuskich ogłoszeń. Weszłam nareszcie w podwórze, gdzie chłopczyk jakiś, z zapalem majstrujący około welocypeda, zapytany przezemnie o magazyn p. Zoti, powiódł

mnie po kilku schodach w dół do ciemnej, wąskiej izby, w głębi której ukazywał się niewielki punkt jasny. Prosto ku niemu zmierzając, natrafiłam na drzwi i oznajmiwszy się pukaniem, weszłam do niskiej, lecz rozległej izby, oświetlonej dwoma, pod samym sufitem umieszczonymi oknami, przez które razem ze światłem wpadał cień przechodniów ulicznych i toczących się po bruku doróżek.

Izba ta, z poplamionymi wilgocią ścianami, z wygnidniętymi i ówdzie deskami podłogi, z zakopconym, nisko zwieszonym nad nią sufitem, brudna była i źle utrzymana, lecz widoczną miała pretensję uchodzić za całkowity apartament. Świadczyły o tem w różnych kierunkach porozwieszane w niej portyery, oraz szafy tak poustawiane, że dzieliły ją na kilka przegród. Wązkie przejście pomiędzy szafami z jednej, a portyera z drugiej strony stanowiło przedpokój; z za portyery wyglądało źle zasłane i pogniecione łóżko, ze stosem różnej wielkości poduszek, z za szafy widać było piecyk kuchenny, zaśniedział samowar, w nieładzie porozstawiane naczynia kuchenne i stołowe. Najbliższa okien, a razem i największa przegroda przeznaczoną była na salon do przyjmowania gości i na pracownię pani domu. Stała tu pod ścianą płóciennym pokrowcem przykryta i wysiedziana kanapa, przed nią stolik zarzucony mnóstwem potrzebnych do roboty przyborów, nad którymi unosiły się na postumentach, jak dwa olbrzymie motyle, bardzo lekko i zrecznie upięte, koronkowe z kwiatami kapelusiki. Prócz kanapy i stolika było tam jeszcze parę wątpliwej świeżości krzesel, znaczna ilość pudełek od kapeluszy, pomiędzy oknami wisało niewielkie lustro, wszystko w skrzywieniu ukazujące, pod niem przechylona na bok komoda, na której stały pootłukane wazony porcelanowe i dogorywał fikus z żółkłymi liśćmi, przysutymi tak grubą warstwą pyłu, że możnaby na nich napisać żalosań biografię zmarnowanej rośliny i nekrolog, oznajmiający śmierć jej przedwczesną.

Oczy moje, błędzące po tym przybytku mody... i kurzu, z przyjemnością zatrzymały się na ścianie, przeciwległej kanapie. Stał tam spory stolik, czyściutkim papierem zasłany, na nim kilka porządnie oprawnych książek, parę fotografii w ramkach, kałamarz, lampka, wazonik kwitnącej cyneraryi i w szklanekę z wodą wetknięta gałąź osypanej blado-różowem kwieciem jabłoni. Nad stolikiem wisała na klucz zamykana, niewielka, oszklona szafeczka, z wewnętrzną stroną szyb, założoną arkuszami białej bibułki, zapewne dla ochrony książek od kurzu, czy może od ciekawego oka. Szafkę przykrywał z wierzchu długi, biały ręcznik, którego suto zahaftowane końce spadały

po obu jej bocznych ścianach, nadając lichemu zresztą sprzącznikowi pozór ołtarza poświęconego nauce, myśli, poezji może, bo na szafie wznosiło się i jaśniało żółkłą nie nowego gipsu białością, popiersie mitycznego ślepeca Hellady.

Świeżością, zamięłowaniem ładu i pracy umysłowej wiało z tego kącika, w którym zapewne przesiadywać musiał ktoś, różny usposobieniem od samej pani w domu. Odziana w przybrukany, modnego koloru héliotrope szlafroczek, rozpięty pod szyją, z zalotnie nastroszonymi nad czołem włosami, w których grubym, matowo złotym skręcie sterczała celuloidowa strzała, z bladawą, poźółkłą cerą blondynki, niezdrowym tłuszczem nalanej, zaniedbana i pretensjonalna, siedziała ona na kanapie, trzymając w ręku kawałek jakiejś materyi, z którego zwieszała się na długiej nitce nawleczona igła. W ustach miała papieros: na kanapie, tuż pod jej ręką, leżało małe ręczne lustro i książka w żółtej okładce, przed chwilą zapewne czytana i w pośpiechu założona chustką do nosa.

Mocua woń jakiegoś lekarstwa, wyziewy jada i gryzący dym lichego tytoniu napełniały niską izbę zaduchem, na podłodze pełno było zrzyków i wszelakiego śmiecia, na stoliku, wśród nici i książek kawałek niedojedzonego ciastka i napoczęta paczka tytoniu — brak ładu, czystości, starania o przyzwoity wygląd otoczenia, widoczny na każdym kroku.

Z kanapy, na której rozpięła się w leniwej i niedbałej pozie, nie raczyła się podnieść na moje przyjęcie, wyjęła tylko z ust papieros i ujawszy go pomiędzy tłuste palce obróciła ku mnie swe błękitne oczy, zapewne niegdyś piękne, lecz dziś zmęczone i sennem jakby osłupieniem wszelkiego wyrazu pozbawione.

— Czy tu pani Zoti? — spytałam.

— A pani z a c z e m? — odpowiedziała przewlekłym, lekko ochryplym głosem.

— Dano mi adres pani w magazynie. Kapelusze przyniosłam do roboty.

— Mogę przyjąć — odparła takim tonem, jakby miała zamiar wyświadczyć mi bardzo wielką łaskę — no muszę zobaczyć materyał, bo z byle czego robić nie stoi.

Rozumiejąc już złamany język tutejszych Polaków, wiedziałam o co jej chodzi. Widocznie wysoko cenila swą umiejętności i upinanie kapeluszy z lichego materyału nie uważała za godną siebie robotę. Na szczęście materyał jej się podobał, cena, jakiej zażądała, wydała mi się zadziwiająco umiarkowaną, spytałam więc jeszcze na kiedy gotów będzie kapelusze.

— Nie wiem — odparła, jakby zdziwiona, że mogę ją zapytywać o coś podobnego — przez dwa dni, może przez trzy... Nie wiem...

— Dużo musi mieć pani roboty? — zauważyłam potulnie, onieśmielona spostrzeżeniem, jaką marnością jesteśmy w jej oczach, ja i mój kapelusz.

— Ot co! — zaperzyła się p. Zoti — niewolnica ja, czy co takiego, żeby u mnie robota pierwsza stała? U mnie dom jest, syn, zdrowie słabe, bez książki też nie wyżyję. A robota! Kto mnie zna, ten na mnie poczeka...

Wspaniała była i zabawna tą pewnością siebie i tem lekceważeniem zajęcia, które dawało jej sposób do życia, uśmiechnęłam się też leciutko, odpowiadając:

— Chociaż panią nie znam, poczekać przecie mogę. Niech tylko wiem na pewno, kiedy mam przyjść.

Ułagodzona już nieco, pomyślała chwilkę, rzuciła okiem na leżące na stoliku tiule i wstążki, spojrzała na niedokończoną jeszcze książkę i wahając się nieco w oznaczeniu ostatecznego terminu, wskazała mi jeden z dni następnego tygodnia.

— Widzi pani — dodała, jakby usprawiedliwiając się ze zwłoki — ja nie biorę i połowy tego co inne, ale zato czasu dużo mieć muszę. Wszystko przez zdrowie! Ach, jakie u mnie zdrowie delikatne. Zapalenie lekkich dwa razy już miałam i przez to ciągle muszę zażywać kropel...

Zerknęła z ukosa na dość dużą flaszkę, wciśniętą pomiędzy siedzenie i poręcz kanapy, a z poządlivości, którą nagle rozbłyśły sennie i martwe jej źrenice, łatwo mi było się domyśleć, że główną przyczyną jej opieszałości i panującego w mieszkaniu nieładu musi być niepowściągnięta namiętność do owych „kropel“ anadynowych, jak mi to wskazywało powonienie... z silną może przymieszką alkoholu. Czytanie musiało jej także zabierać niemało czasu, świadczyła o tem książka, w chwili mego przyjścia dopiero na bok odłożona; kiedy zaś zajmowała się domem i synem, było to zagadką — o rozwiązaniu aż nadto w oczy bijącym.

— Ot! bieda z takim zdrowiem — podjęła znowu — cała pociecha w książce.

— Cóż pani czyta? Nowość jakąś może? — spytałam z ciekawością spoglądając na żółtą okładkę.

— Francuski romans — odpowiedziała chełpliwie — bardzo piękny romans.

I pokazując mi tytuł jednej z najbardziej pornograficznych powieści, dorzuciła tym tonem wyższości, jaki stale w rozmo-

wie ze mną zachowywała: Same najlepsze romanse, to francuskie.

— Są i polskie prześliczne! — ujęłam się gorąco. — Czy zna pani . . .

I jednym tchem wyliczyłam jej kilka arcydzieł naszej literatury powieściowej. Ale ona lekceważąco machnąwszy ręką:

— E! co tam polskie powieści! — odrzuciła — widno pani nie czyta na francuskim języku?

— Owszem, czytam — odpowiedziałam, znowu mimowoli się uśmiechając — ale właśnie dlatego, że znam dobrze literaturę francuską, radzę pani spróbować powieści polskich. Niemniej zajmujące, a moralniejsze i . . . swoje.

Ostatni ten określnik rzuciłam dla wypróbowania gruntu, ale zaledwie z ust mi wyszedł, ona ręce do góry podniósłszy, strzepnęła niemi żywo w powietrzu, jakby ruchem tym odegnąć chciała niemiłe, natrętnie cisnące się do niej widziadło.

— Nie! nie! — zawołała ostrym głosem podrażnionej złościcy — nie będę czytać nic polskiego . . . Nie! Nie chcę, nie będę! Dostyc już mam p o l a c z e n i a się! Po same gardło! Nie chcę!

Zgadując, że w namiętnym, gniewnym jej proteście tkwi głębsza jakaś przyczyna, postanowiłam ją poznać. Przyszło mi to z łatwością. Przerzucając ryciny mód pod pozorem szukania w nich mającego mi przypaść do smaku wzoru kapelusza, zadałam p. Zoti parę pytań, ubocznych, podstępnych może, lecz w odpowiedzi na nie otrzymanej — w opowiadaniu jej przeszłości — znalazłam wytłumaczenie dziwnego jej zбочenia z drogi, przez etykę narodową wskazanej.

Pochodziła z Warszawy, ze sfery mało-mieszczańskiej. Rodzice jej mieli sklep z norymberszczyzną, a ona sama skończywszy czteroklasową pensyjkę, oddaną została do magazynu dla wyuczenia się modniarstwa. Magazyn był jednym z pierwszorzędnych podówczas, otrzymywał zamówienia z głównych miast Cesarstwa, a wykształcone w nim uczenice poszukiwane były na kierowniczkę magazynów przez najpoważniejsze tychże miast firmy. Właśnie gdy ona naukę swoją skończyła, jeden z odbiorców zapytał, czy nie mianoby dla niego osoby, zdolnej zarządzać pracownią, zamiłowanej w swoim fachu, a młodej, przystojnej i umiejącej rozmówić się z kobiecą klientelą elegantek. Wszystkim tym warunkom ona zadość czyniła; dziś jeszcze, po dwudziestu przeszło latach wspominała o tem z zadowoleniem. Uśmiechała jej się przytem perspektywa porzucenia Warszawy, gdzie spotkała ją przykreść wielka . . . Jaka? nie objaśniała tego bliżej. Dość, że wyjechać pragnęła, a że ofiaro-

wywano jej znaczną bardzo pensję, potrafiła więc przekonać o użyteczności wyjazdu rodziców, nieco jej zamiarom niechętnych i znalazła się niebawem w nowem otoczeniu, wśród obcych zupełnie ludzi. Z początku raziło ją tam wszystko: mowa, zwyczaje, pojęcia, ale prędko przywykła. „Wszędzie człowiek przywyknie, jak mu dobrze“ zapewniała, a jej zupełnie było dobrze: Lubiła swoich pryncypałów i umiała pozyskać ich względy. Uważanie miała u nich, wygody wszelkie, podarki i gratyfikacje nader częste, stroiła się jak lalka i zupełnie czuła się szczęśliwą.

Rok jej tak upłynął, ani się opatrzyła. Do żony pryncypała, Greczynki ze starej „herojskiej“ podobno rodziny, przyjechał ze stolicy w odwiedziny brat, elegancki młodzieniec, pomimo młodego wieku jeden z wyższych już urzędników w biurze ministra... Zdolności miał niepospolite, poparcie wpływowych osobistości, szerokie w sferach towarzyskich stosunki, wszystko zapowiadało mu błyszczącą karierę i znacznie starsza od niego siostra, dla majątku w kupiecką sferę zstąpiwszy, pyszniła się tym bratem, śmiało i zręcznie pnącym się na wyżyny społeczne. Roila też dla niego świetną partyę: kiedyś, za lat dziesięć, piętnaście, gdy ustaliwszy już swą pozycję, będzie miał prawo wybierać, księżniczkę może jaką wyborem swoim zaszczyci.

O wszystkich tych rojeniach wiedziała dzisiejsza p. Zoti, bo bezdzietna, podżyła, dobroduszna kobieta nie miała dla niej tajemnic. Tymczasem piękny i świetny Galaktyon zaledwie przyjechał, natychmiast zakochał się na zabój w tej mieszczańczej warszawskiej, której za całe wiano służyła ładna maseczka blondynki i wdzięcznie zaokrąglona kibić. Ona zakochała się także w wytwornym paniezu, któremu podobnych nie spotykała dotąd nigdy, więc chociaż siostra Galaktyona gorzko rozpaczała nad szaleństwem, które czyniło brata ślepym na jej łzy i głuchym na jej przedstawienia, chociaż jej — ówczesnej panny Zofii — rodzina sprzeciwiała się małżeństwu z człowiekiem innej wiary, oni, na nikogo nie zważając, ślub wzięli i p. Galaktyon Zoti uwiózł młodą małżonkę do wielkiej, północnej stolicy.

Jak w niebie jej tam było! Miasto piękne, ruch, życie, dom na wystawną prowadzony stopę, mąż do niepamięci w niej rozkochany i dogadzający wszystkim jej zacheceniom. Stroiła się, nie jak lalka już, ale jak bogata wielkoświatowa dama, bywała w teatrach, na koncertach, przyjmowała gości u siebie.

Wtedy to dla dopełnienia swojej światowej edukacji, zaczęła brać lekcye języka francuskiego, którym Galaktyon

władał biegle, w urzędowych tylko stosunkach posługując się miejscowym. Wkrótce też i ona zaczęła dobrze mówić po francusku, ale co po polsku, to zapomniała już prawie. Śmiejąc się, powiedziała to mężowi, ale on przeraził się, jakby mu zbrodnię wyznała i przeproszać ją zaczął, jakby jej krzywdę wyrządził. Wogóle usposobienie już miał takie, że, co ona uważała za nic nie znaczącą drobnostkę, dla niego stanowiło sprawę pierwszorzędną wagi — i na odwrót. To jedno zarzucić mu mogła. Zresztą najlepszy w świecie człowiek!

Tak i teraz. Ani za polskim językiem, ani za towarzystwem rodaków nie tęskniła ani trochę, ale jemu się wydało, że koniecznie tęsknić musi. „Jakże! — mówił — swój język, swoi ludzie każdemu zawsze najmiłsi. Nie wyrwać tego z serca! Tyś Polka . . . Polacy po całym świecie z tego znani, że o kraju swoim zapomnieć nie umieją. Wiem, wiem, że tęsknisz, najmiłsza . . . Taisz się tylko z tęsknotą, aby mnie przykrości nie sprawiać!

Bóg świadkiem, że nic nie miała do utajenia! Na dnie płytkiego jej serca nie było żadnej tęsknoty, bo zabawy i stroje pochłaniały ją całą, ale Galaktyon wyperswadować sobie tego nie dał. Wyszukał jej jakąś Polkę i z tą panią, niemłodą już, smutną, od życia towarzyskiego stroniącą, umówił się, aby przychodziła rozmawiać i czytywać z jego żoną. Młodą kobietę nudziły niewypowiedzianie te obowiązkowe rozmowy o sprawach i rzeczach, dziejących się gdzieś daleko, to czytania mające zwykle za przedmiot coś, co się przed laty kędyś stało, lub stać się miało w przyszłości . . . odległej . . . nieoznaczonej . . . niepewnej. Wystarczała jej teraźniejszość. Rozsądną była i przyznać sobie może, że nigdy niczem niepotrzebnem nie miała głowę zaprzętańtej.

Mniemając, że jej tem sprawi przyjemność, pozawiazywał Galaktyon stosunki z kilkoma domami polskimi. Były to domy poważne, wybitne stanowisko zajmujące w społeczeństwie, wysoko szanowane przez miejscową kolonię polską. Przedstawiciele ich wydali się pani Zoti nudnymi pedantami, przedstawicielki dumnymi arystokratkami. Zadzierały nosa, prawily o obowiązkach, wyraz „kraj“, „my Polacy“ ciągle miały na ustach. Nudziarki! Żadnej przyjemności nie znajdowała w ich towarzystwie!

Mąż to spostrzegł i wciąż przy swoim trwając, postarał się dla niej o nowe, zupełnie odrębne, lecz zawsze w polskim kółku, stosunki. W salonach, w których pojawiała się na krótko strojna postać młodej kobiety, bywała także młodzież, uczęszczająca do wyższych zakładów naukowych. Galaktyon ją za-

praszać ich do siebie i wkrótce otoczyło ją kółko, z którym wesoło i mile czas jej przechodził. Studenci śmieli się, żartowali, znosili jej nowinki, bawili ją szmermelami młodzieńczego dowcipu, a czasem śpiewali stare tęskne pieśni, których słuchając, czuła, że ogarnia ją dziwna zaduma, że coś się w niej przebudza, drga, do życia powstaje na chwilę. Czasami zamiast śpiewać, wiedli długie, gorące rozprawy, w których i Galaktyon przyjmował udział tak żywy, jakby Polakiem był, nie zasiadziłał na Północy Grekiem, dla którego wszystko co polskie, powinno być jak najzupełniej obojętne. O uszy jej objęły się wtedy wyrazy: „Ojczyzna“... „Wolność“... „Lud“... a chociaż nie zawsze rozumiała, o co mianowicie chodzi rozprawiającym, z przyjemnością jednak patrzyła na te młodzieńcze twarze, ogniem wewnętrznym rozgorzałe, promienne tą czystą jasnością, która spływa na czoła, w górę, ku nowym dni jutrzence wzniesione...

W podobnych chwilach z uniesieniem potakiwał im Galaktyon. „Rozumiem was“ — mówił — „rozumiem, wszak Grekiem jestem. Te same bunty wrzeć musiały w piersi moich praocjów, gdy hardy Rzymianin Achajską prowincję czynił z Grecyi... To samo pragnienie dni lepszych wiodło pod Missolunghi rodaków moich zastępy... O Grecya!... Rozumiem ja, rozumiem...“

Nie lubiła, gdy Galaktyon wpadał w zapał i wymawiał te dziwne jakieś wyrazy i nazwy, których ona póty nauczyć się nie mogła, póki ich jej nie wypisał na karteczce, prowadząc ją na świetny poranek muzykalny, na którym z racyi przybycia królestwa greckich miał się znajdować cały wielki świat stolicy i zdarzyć się mogła konieczność mówienia o tego rodzaju rzeczach z powodu żywych obrazów, z przeszłości Grecyi treść czerpiących. Całej litanii wypisanej na karteczce doskonale wyuczyła się na pamięć, a karteczkę samą do dziś dnia przechowuje jako pamiątkę. Kochała Galaktyona ogromnie! a przytem i bawiła się wtedy wyśmienicie! Toaletę miała... Karteczka to wszystko na pamięć jej przywozili!

Wogóle jednak nie lubiła, gdy się Galaktyon wspomnieniami unosił. POCO mu to było? (Gdzie kto ma chleb i do tego jeszcze tak omaszczony suto, tam dom swój i świat mieć powinien. A ze wspomnień, z Grecyi, co mu przyjsć mogło?)

Nie mówiła tego wszakże mężowi, bo gdy kiedyś napomknęła coś w tym sensie, spojrział na nią tak jakoś dziwnie, jakby nieznaną widział przed sobą. „Żartujesz chyba? Polka jesteś! Nie przystało Polce tak mówić... Jeżeli komu, to Polce“... Ona więc, zgodnego będąc usposobienia, nie pojmu-

jąca zresztą, aby można spierać się o takie drobnostki, o to, „czego niema naprawdę“, nie zaczęła już tej kwestyi.

Szły więc w dalszym ciągu rozmowy, młodzieży bywało coraz więcej, wiedli z sobą długie, poważne rozprawy, a czasem nawet zamykali się w gabinecie jej męża: naradzali się nad czemś widocznie, lub pisali coś może?

Raz, podczas takiego zebrania, okrzykiła dom ich policya. Młodych ludzi, co do jednego, Polaków samych, aresztowano... Co z nimi się stało, nie wie i nie ją to nie obchodzi... Waryaci! Przez nich to nieszczęście na nią spadło!

Galaktyona aresztowano także. Wkrótce odzyskał wolność, ale po takim „skandalu“ nie mógł już „służyć“ dłużej: wręcz mu powiedziano, aby się podał do dymisji i kazano mu opuścić stolicę. Klęska to była dla nich okropna. Funduszu nie zebrali żadnego. Pensję brał wprawdzie Galaktyon znaczną, ale przeżywali ją co do grosza. Inni, na takiej samej posadzie, nie oszczędniej od nich żyjący, zbijali kapitały... Ale cóż? Galaktyon chociaż rozumny człowiek i najlepszy mąż w świecie, niepraktyczny był, nie umiał pamiętać o przyszłości. Oprócz pensji innych dochodów nie miał wcale. Nie chciał! A mógł, o! mógł mieć ogromne... Same w ręce mu lały, a on za nic brać ich nie chciał... Ot! nieszczęście, gdy człowiek zamiast o majątku myśleć, o familii, nabija sobie Bóg wie czem głowę!..

A koniec z tego taki, że gdy mu dano dymisję, gdy ona wobec grożącego im niedostatku i konieczności natychmiastowej zmiany trybu życia, zaczęła sobie włosy rwać z głowy i zanosić się głośnym płaczem, przeklinając Grecyę i Polskę i wszystkie podobne im głupstwa, on także za głowę się porwał i z osłupiałym wzrokiem waryata wpatrzył się w nią, jak w dziwowisko jakie. Przez parę dni potem chodził jak nieprzytomny, słowa jednego nie wymówił, do ust nic nie wziął, przerażonym wzrokiem wodził wokoło, ją omijając spojrzeniem. pozołkł, zgarbił się, postarzał, ceglane plamy rumieńca wystąpiły mu na zapadłe nagle policzki... Po kilku dniach podobnego stanu, zdeklarował się tyfus. Kosztowności i stroje sprzedawała, aby go leczyć, ale nie było rady... Umarł...

Ot! przysłużyli się im Polacy!

Została sama, jak palec, z dziewięcioletnim chłopczykiem. Ojciec dał mu być na imię Tadeusz Platon, że to niby Grek i Polak razem. „Tada“ wołali oboje na dziecko, ale teraz ona syna Platonem tylko nazywa. Wszystkiego połączenia ma już dosyć!

Siostra męża wiedzieć o niej nie chciała. Nie przebaczyła jej nigdy pokrzyżowania swoich planów, nigdy w domu jej nie

postała nogą, pisywała tylko do brata i przysyłała dziecku kosztowne upominki. Chciała teraz wziąć chłopczyka na wychowanie, ale ona, matka, nie dała. Kochała dziecko! Uczciwą była żoną i dobrą jest także matką, wróg śmiertelny nie powie o niej inaczej. Siostra męża nie ma prawa nią gardzić!

Jej rodzina? A tak! Rodzice już pomarli, ale ma jeszcze brata. Młodszy od niej o lat kilka, doktorem jest w Warszawie, ożenił się, dzieci ma troje. Pisała do niego, donosząc, że owdowiała, że, kto wie, czy z dzieckiem do Warszawy nie powróci. Odpisał bardzo serdecznie, przysłał jej trochę pieniędzy, ale wracać nie radził. „Synek twój innej jest wiary — pisał — nasze dzieci w katolickiej urodzone i chowane. Krzywoby tu patrzano na twego Tadzia. Zostań już lepiej tam, gdzie żyć sobie obrałaś... Pomagać ci będę w miarę możliwości“...

Wyjechawszy ze stolicy, osiadła tutaj, na południu, w gubernialnym mieście, gdzie też syna do gimnazjum oddała. Platon uczy się dobrze, do ósmej klasy już poszedł, korepetycyami sporo zarabia. I ona także zarabia ubieraniem kapeluszy. Miałaby dużo więcej dochodu, gdyby nie to zdrowie nieszczeniwe. Och! Dawniej miewała magazyn prawdziwy, z paradnym wejściem od ulicy i dwoma lub trzema pokojami. Panny brać musiała do pomocy... Ale teraz mieszkania podrożały, modniarki żydówki zewsząd „wycieśniają“, musiała tutaj się przenieść... A przytem to zdrowie... ach! zdrowie... Pracować jej nie pozwala... Platon dobry chłopiec, dobry syn, zarobkiem jej swoim dopomaga, a ona, jak zawsze dobrą była matką, tak i teraz dla syna tylko żyje. Zawsze go naucza, aby się z żadnymi Polakami nie zadawał, nigdy po polsku do niego nie mówi... Broń Boże! jeszczeby mu jak ojcu świtać zaczęły w głowie jakies myśli... A jemu to na co? On ani Grek, ani Polak, on tutejszy, prawosławny, tutaj służby szukać mu się przyjdzie, a tu Polaków nie lubią... Ona też kryje się z tem, że Polką była...

— Syn mieszka z panią razem? — przerwałam, bojąc się wybuchnąć oburzeniem.

— A jakże! Ot! tu, gabinecik sobie urządził — i ręką na stolik z książkami wskazała. — Wróci z korepetycyi, uczy się, potem długo w noc czyta... Ja wcześniej spać się łożę i czytam także... Zdrzemnę się, to on cichutko na palcach podejdzie i świecę zgasi przy łóżku. Dobry chłopiec! książki dla mnie abonuje w czytelnui... Szkoda tylko, że na francuskim języku czytać nie chce! ruskie tylko książki czyta.

Gdy w oznaczony przez p. Zoti dzień przyszedłam po kapelusze, nie był gotów, a ona sama leżała w łóżku. Silna woń eteru napełniała mieszkanie, a z za osłaniającej łóżko portyery przewlekłym, jakby przez sen z trudnością wydobywanym głosem, ofiara nieszczęsnego nałogu tłumaczyła mi po swojemu przyczynę zwłoki. — Wszystkiemu winno to nieszczęsne zdrowie! Po śmierci męża zachorowała z desperacji... Raz po razie mdlała bez przerwy... Dla podniesienia sił zaczęto jej wtedy dawać krople i gdyby nie one, dawnoby już nie żyła...

Głos jej wiązał w gardle, zeszywniały język wypowiadał posłuszeństwo, a ja, z przykrością słuchając coraz niewyraźniejszego bełkotu, machinalnie zapuściłam wzrok w głąb izby. Na tle jaskrawo zachodem oświetlonego okienka rysowała się wysmukła postać młodzieńcza, z czołem opartem na dłoniach, z palcami utopionymi w gęstwinie włosów.

— Biedny chłopiec! — pomyślałam — przykro mu być musi widzieć matkę w takim stanie...

— Mamo! Pani chciałaby zapewne wiedzieć, na kiedy będzie kapelusz? — przerywając matce, przemówił po rosyjsku, czystym, dźwięcznym precudnie harmonijnym głosem.

— Na jutro. Niezawodnie na jutro o tej porze — odparła w tymże samym języku.

Punktualnie stawiałam się nazajutrz o tejże samej godzinie. Nie było p. Zoti w domu, lecz na moje przyjęcie podniósł się z krzesła wysmukły młodzieniaszek w szkolnym mundurku i dość czystym akcentem, po polsku przemówił:

— Mama p r ę d k o przyjdzie. Prosiła, żeby pani zaczęła.

Wczoraj jeszcze ujęta melodyjnym jego głosem, z zajęciem spójrzałam dziś na niego. Sniadość cery, czarne, w pukle polamane włosy, prawidłowy owal twarzy wziąć musiał w spadku po ojcu, po matce oddziedziczył tylko siwo-błękitne, prawdziwie słowiańskie oczy i miękki, łagodny jej uśmiech. Ale uśmiech ten, u niej już przeszły w grymas tłuszczem przerośniętych mięśni, oblewał twarz chłopca przedziwną słodyczą upojenia jakiegoś czy tryumfu... Oczy matki zmaczone były i zmartwiałe, a w kryształowo przejrzystych źrenicach syna gorzał ogień pięknej, czystej, górnymi myślami karmionej młodości. Miał na nie dosyć miejsca pod niezbyt wyniosłym, lecz pięknie sklepieniem czołem, które śmiało i dumnie podnosił... może także ku jakiejś jutrzence, w marzeniach jego rozblęśniętych?..

Trzeba jednak było coś odpowiedzieć na słowa, którymi mnie przyjął. Rzekłam więc:

— A! mówi pan po polsku?

— Mówię — odparł ze szczerym, prawdziwie młodemu uśmiechem, w którym razem z dwoma rzędami zębów błysnęła chłopięca niemal figlarność — nauczyłem się teraz trochę...

— Gdzie? Matka pana mi mówiła, że nie rozmawia z panem po polsku?

Przeczysta głąb jego źrenic zmaciła się na chwilę wyrazem zawstydzenia i jakby urazy do tej matki, co nie chciała podzielić się z jedynakiem bogatą po ojcach spuścizną...

— Od kolegi się nauczyłem — odrzekł. — Ojciec jego żył, z Warszawy rodem, cała rodzina po polsku tylko mówi. Do siódmej klasy tu przybył, opowiadał nam o warszawskich kolegach, a gdy powiedział, że moja matka z Warszawy także rodem, zaraz jakoś zbliżyliśmy się z sobą. Bywam w domu jego rodziców, rozmawiam z nimi po polsku...

— Inteligentni ludzie? — spytałam dyplomatycznie, nie chcąc wręcz go zapytać, czy ci „Polacy wyznania Mojżeszowego“ za Polaków się mają. Ale on znać myśl moją odgadłszy:

— Opowiadają mi o Warszawie — podjął żywo — o posagu Sobieskiego, o pomniku na Saskim placu, o tej kapliczce, co to... wie pani? w rogu ogrodu Botanicznego stoi. Książki mi dają, Mickiewicza całego czytałem, wiersze różne umiem, pieśni... O Kościuszcze wiem, o Kilińskim.

Więc upojona słodycz jego uśmiechu upojeniem była tryumfu? Pojęłam to teraz, gdy z uczuciem dumnego zadowolenia prostując kształtną postać, żywo, prędko, wibrującym od wzruszenia głosem wyliczał mi swoje tytuły do dusznego z nami braters'wa...

— A więcej czytujesz pan co? — zagadnęłam.

— A jakże! Czytuje. Za własne pieniądze sprowadzam sobie książki. Mam ich już sporo... O! niech [pani popatrzy...

I otworzywszy zamkniętą na klucz wiszącą szafeczkę, pokazał mi w niej całe dwa rzędy ciasno obok siebie ustawionych tomów. Spojrzałam: było tam wszystko czego potrzeba, aby młody umysł poczuł się ogniwem tego łańcucha, który o przeszłość zahaczony, czepia się przyszłych rozświetów doby. Tanie wydanie Mickiewicza, kilka powieści Orzeszkowej, Stara Baśń, Placówka, Ogniem i mieczem, tomik poezji Konopnickiej, parę tomów historii polskiej, Śpiewy historyczne — wszystko, co przeszłość znać uczy, co prądami chwili dzisiejszej tętni.

— A mama w s z y s t k o t a k i nie wie, że ja po polsku czytam! — zaśmiał się, jak dzieciak swawolny. — Nie wie! myśli, że ja nie Polak... A ja, gdy się po polsku na-

czytam, to aż śpiewa we mnie ta mowa, jak muzyka i ludzie polscy wciąż tłumem za mną chodzą i jak na swego wołają . . .

— A jak wołają? — spytałam uśmiechem pokrywając rozrzewnienie — czy: P l a t o n ?

W mig pojawił się myśl moją, chwycił z szafki tyle książek, ile ich obiema rękami mógł objąć i szybko jedną po drugiej roztwierając, pokazywał mi każdej z nich pierwszą stronę, na której śniałem, wyraźnym stało pismem: T a d e u s z Z o t i .

— A! więc Tadeuszem pan jesteś?

— A jakże! Wasz ja . . . cały wasz! — głosem prosto z serca idącym, krzyknął chłopak. — Czemże mnie być, jak nie waszym? Prawda?

— Tak! Naszym jesteś! — szepnęłam wzruszona.

Przez bratni związek z duchem minionych pokoleń, przez braterski sojusz z dzisiejszych dni duszą, naszym jesteś młodzieńcze, głosami narodowych wspomnień i nadziei z wygodnych gościńców na ciasne ścieżki zwołany . . .

Nasz!

— — — — —
O, Żywotna! Z Ducha poczęty, jeden więcej ci się syn narodził!



KRONIKA NAUKOWA.

Obserwatorium na Montblanc. Na ostatnim posiedzeniu Akademii Umiejętności w Paryżu astronom Janssen zdawał sprawę z obecnego stanu obserwatorium swego, umieszczonego na szczycie góry Montblanc, które zwiedził po raz ostatni z końcem września r. b. Wydostanie się na szczyt góry było tą razą bardzo utrudnionem, albowiem lód wskutek panującej przez dłuższy czas posuchy stał się nader gładkim i twardym. Dnia 26. września puścił się Janssen w drogę na umyślnie dlań zrobionych sankach, naprzemian ciągniętych i popychanych przez dwunastu przewodników. Ruszywszy o godz. 7. zrana z Chamounix, dotarł o godz. 5. popołudniu do Grands-Mulets. Dnia następnego w dwunastu godzinach dostał się do Rochers-Rouges, a dopiero dnia trzeciego po półtrzeciogodzinnej wędrówce stanął przy obserwatorium na szczycie. Tam pozostał przez dwie doby, a 30. powrócił w przeciągu jednego dnia do Chamounix. Asystent Janssena, Maurice de Thierry miał być 11. sierpnia jeszcze uciążliwszą przeprawę. Zaskoczony w drodze przez śnieżyce, musiał pozostać przez dziesięć godzin na jednym i tem samem miejscu bez schronienia. Gdy wyszedł ostatecznie na szczyt, zerwała się burza z gromami tak silna, że nie mógł przedsięwziąć żadnej pracy w obserwatorium, wskutek czego musiał powrócić do Chamounix. Gdy po kilku dniach nastąpiła pogoda, wyszedł ponownie do obserwatorium i pozostał w niem pewien czas. Janssen w obserwatorium wyznaczył miejsce pod wielki dwunastocalowy teleskop, który następnego roku ma automatycznie funkcyonować. Usunął też niektóre braki w ustawieniu meteorografa. Zdaniem Janssena potrzeba będzie jeszcze wielu doświadczeń i studyów, nim wymienione instrumenta wszelkim wymaganiom zadość uczynią. Wobec doniosłości jednak, jaką mają dla meteorologii dane o stanie pogody, zebrane na najwyższym punkcie Europy, nie trzeba cofać się przed temi trudnościami. Nadzwyczajna posucha, panująca we wrześniu, umożliwiła Jansse-

nowi badać kwestyą, czy w atmosferze otaczającej słońce, istnieje wodoród. Badania te uzupełniają jego prace nad tlenem słonecznym. W końcu swego sprawozdania odpiął Janssen niektóre zarzuty, podniesione przeciwko jego obserwatorium. Jego zdaniem obserwatorium, wystawione przez Wallot'a na Bosses pod Chamounix nie odpowiada swemu zadaniu, gdyż z powodów tak astronomicznych jak meteorologicznych, obserwacje decydujące mogą być przedsiębrane jedynie na szczycie gór, zewsząd wolnym.

Statystyka książek dotąd pozostawia jeszcze wiele do życzenia. Opiera się — w Niemczech przynajmniej — jedynie na danych, zawartych w przeglądach bibliograficznych. Wedle tychże ogólna liczba publikowanych w Niemczech książek wynosiła:

| | | | |
|------------|--------|-------|--------|
| W r. 1851: | 7108 | 1880: | 14.941 |
| 1865: | 9661 | 1885: | 16.305 |
| 1870: | 10.108 | 1890: | 18.875 |
| 1875: | 12.516 | 1893: | 22.946 |

Co do udziału, przypadającego na poszczególne gałęzie nauk, na uwagę zasługuje zwłaszcza zmniejszenie się liczby wydawnictw teologicznych. W r. 1851 książki treści teologicznej stanowiły największą część ogólnej liczby publikacji; obecnie miejsce to zajęły pisma ludowe, beletrystyczne i przyrodnicze; na teologią zaś przypada tylko 9·4%. — Zebranie i zestawienie dokładnych dat, dotyczących się wszystkich gałęzi literatury, stanowiłoby wielce pouczający przyczynek do historii ruchu umysłowego, odbijającego się w piśmiennictwie.

